

Antologia SF

Różni

Książka XXII z Stało się jutro



calibre 0.9.43

STAŁO SIĘ

JUTRO

Dariusz Filar

We własnej skórze

Inne miejsce

We własnej skórze

I

Zaparkowałem wóz pod wysokim, porośłym bluszczami murem i przeszedłem przez bramę z szarego piaskowca.

Na kamiennym łuku ciemniały na pół zatarte słowa

łacińskiej maksymy: „Dum spiro, spero”. Przeczytawszy je, potrząsnąłem głową w odruchowym sprzeciwie; Śądanie

zachowania nadziei aŚ po ostatnie tchnienie wydało mi się

mocno wygórowane. Świrowana aleja, na którą

wprowadzała brama, biegła prostym, srebrzystozielonym

szpalerem świerków. Napęłniały powietrze głębokim,

wilgotnym zapachem lasu i trzeba było mojego

przeczulonego nosa, by wyłowić

z Śywicznej świeŚości ostry odór środków dezynfekcyjnych i

lekarstw.

Po chwili odór stał się wyraŚniejszy, a ja wkroczyłem na

brukowany bazaltową kostką dziedziniec. Oskrzydlały go

długie, piętrowe budynki o spadzistych dachach i szerokich

weneckich oknach. Przychodziłem tu po raz pierwszy w

Śyciu, ale widok ponad wszelką wątpliwoŚć był mi znajomy.

Odniosłem przy tym wraŚenie, Śe moja pamięć musi

zawierać go od dawna. Od dawien dawna. Zacząłem

szukać skojarzeń i wtedy ukazały mi się stare sztychy

szczelnie wypełniające ściany w gabinecie mego dziadka; wszystkie prezentowały słynne budowle naszego kraju, a przynajmniej na dwóch było właśnie to miejsce.

Pomyślałem zaraz, że jego wygląd zewnętrzny nie uległ na przestrzeni wieków specjalnym zmianom. Postronnemu, nie wtajemniczonymu obserwatorowi niełatwo przyszłoby odgadnąć, że za zabytkową fasadą niegdysiejszego przyklasztornego szpitala i przytułku dla nieuleczalnie chorych kryje się jedna z najnowocześnie wyposażonych klinik świata.

Nacisnąłem klamkę wysokich, okutych drzwi; ustąpiły z cichuteńkim, prawie niesłyszalnym skrzypnięciem.

W obszernym, wyłożonym puszystymi dywanami holu stało kilka staroświeckich, obciążniętych skórą foteli.

W głębi, pod rozłożystą palmą, siedziała za biurkiem dziewczyna w błękitnym służbowym uniformie pracownika kliniki.

— Przeszedłem zapytać, jak się czuje pan King — powiedziałem kierując się ku niej. — Pan Alan King. Bez pośpiechu podniosła oczy znad kolorowych zdjęć jakiegoś pisma.

— Informacji o stanie chorych udzielają lekarze w godzinach od dziesiątej do dwunastej — oświadczyła tonem

telefonicznego automatu. — Proszę przyjść jutro rano albo zadzwonić pod wskazany tutaj numer. Wyciągnęła ku mnie rękę z białym biletem informacyjnym kliniki, a ja przyjąłem go machinalnie i nie czytając wsunąłem do kieszeni płaszcza. Nie zamierzałem odchodzić.

— Tak? — w głosie dziewczyny pojawił się ledwo słyszalny cień zniecierpliwienia, a jej oczy patrzyły wyczekująco. — Coś jeszcze?

— Tylko to, że nie przyszedłem w sprawie prywatnej — powiedziałem. — Jestem z aliusensorii. Z pasma siódmego. Lubiłem przedstawiać się w ten sposób i patrzeć, jak pod wpływem moich słów zmieniają wyraz twarzy rozmówców; w jednym mgnieniu odmalowywały się na nich ciekawość i podziw, nadzieja i przymilna gotowość do usług. Czasami również zazdrość, ale ostatecznie w szerokiej gamie uczuć nieprzyjaznych nie zajmuje ona pozycji najwyższej.

— Ach tak! — stłumiony okrzyk dziewczyny zdradził jej popłoch. — Tak! Oczywiście! Pan pytał o ...?

— O Alana Kinga.

— Tak! Już, już! Proszę!

Chwyciła słuchawkę jednego z kilku stojących przed nią telefonów, z emocji dwa razy pomyliła się przy wykręcaniu numeru, a gdy wreszcie udało się jej uzyskać połączenie, zaczęła zacinać się i jąkać z pośpiechu. Jakże typowe było

to wszystko! Bardziej niż się spodziewałem.

— Proszę pana — dziewczyna odłożyła słuchawkę i teraz znowu zwracała się do mnie — operacja jeszcze się nie skończyła. Profesor Kranc...

— Zaczekam — przerwałem jej w pół zdania. Odwróciłem

się i czując na plecach jej wzrok zagłębiłem się w miękkości

najbliższego fotela. Naprzeciwko moich oczu wisiało na ścianie ogromne płótno — realistyczna martwa

natura, której centralnym punktem był ułożony na półmisku

ludzki mózg. Niepokojącą, wilgotnie lśniącą bielą wyłaniał

się spomiędzy srebrnych naczyń, wysokich szklanic wina,

owoców i kwiatów, kalafiorowato piętrzył się swymi fałdami i

bruzdami, czerwieniał i błękitniał cieniutkimi nitkami

przewodów krwionośnych.

Tak samo wyglądał zapewne w tej chwili mózg Alana Kinga;

osaczony białym chłodem sali operacyjnej, spłukany ostrym

światłem reflektorów, bezbronny w kielichu szeroko otwartej

czaszki. **Z**e wszystkich stron musiały wyciągać się

ku niemu macki kolorowych rurek i lśniące szpony narzędzi,

a pod naciskiem gładko opiętych gumą palców profesora

Krańca między neuronowy gąszcz formatio reticularis i

struktury obwodu łupokampa zagłębiała się mikroskopijna,

elektroniczna proteza. Albo przedłużacz. Czy też pasosyt.

W gruncie rzeczy nie wiedziałem, na które z tych określeń

zasługuje naprawdę przekaznik aliusensoryczny. Nie

wiedziałem zresztą równieŜ, czy rzeczywiŝcie tak wygląda jego wszczepianie; nie asystowałem nigdy przy samym zabiegu i tylko próbowałem go sobie wyobrazić. Na moment opanowało mnie absurdalne, niosące zimny dreszcz przeraŜenie; uroiło mi się, Ŝe to ja leŜę wśród skrwawionych prześcieradeł, Ŝe to w mój mózg wdzierają się brutalnie obce ciała. O nie! Na to nie pozwoliłbym nigdy!

A Alan King? Czy w pełni pojmował wagę dokonującej się w jego Ŝyciu przemiany? Przed trzema dniami, kiedy podpisywał kontrakt i zgodę na dzisiejszą operację, wydawał się zdecydowany i zadowolony. Miał minę człowieka, który udaje się na egzotyczną wyprawę i właśnie dopełnia ostatnich formalności w biurze podróŜy. Wszystkie jego gesty pełne były ostentacyjnej swobody, a lekko podniesiony głos dudnił pewnością siebie i animuszem. Nie umiałem odgadnąć, czy to jego zwykły sposób bycia, czy teŜ wynik przekonania, Ŝe właśnie takiego zachowania po nim oczekujemy.

— To jest Ray Davis — przedstawił mnie mój szef. — Będzie twoim aniołem stróŜem; wiesz juŜ pewnie, Ŝe to taka nasza nieoficjalna nazwa tej funkcji? King skinął głową.

— Cześć, aniele stróŜu! — powiedział z uśmiechem i zmiaŝdŜył w uścisku moją dłoń.

— Ray pracował dwa lata z fantomami, a później jeszcze

trzy z bezprzekazowymi drugiego planu —ciągnął szef. —

Był niezły i uznaliśmy, że czas wypuścić go na szersze wody. Powierzamy mu ciebie, Alan. I mamy nadzieję, że będziecie z siebie zadowoleni.

— Jasne! — King serdecznie poklepał mnie po plecach. —

Wymyślisz dla mnie coś fajnego, nie?

— Postaram się — odparłem.

A w rzeczywistości już od miesięcy śledziłem setkami pomysłów. Opanowały mnie bez reszty, gdy tylko rozszła się pogłoska o rychłym zatrudnieniu Kinga i o rozpatrywaniu mojej kandydatury na prowadzącego nowy program. Chaotycznym wirem spadły wtedy na **mnie** epizody z banalnych kryminałów i sceny z wielkiej klasyki, refleksje bohaterów stworzonych przez literackich geniuszy i mroźne krew w żyłach przebiegające postaci z prozy brukowej, zaskakujące finały powieści sensacyjnych i rozstrzygnięcia antycznych tragedii. W podnieceniu bezsennych nocy buszowałem po bezkresnych otchłaniach ludzkiej wyobraźni szukając momentów najbardziej szokujących, najwyższych emocji i najwspanialszych przeżyć. Fragment po fragmencie sklejałem je w burzliwe i barwne pasmo, w kipiące, nieprzerwanie sięgające pełni życie, o którym mógłby marzyć każdy. A które przeżyć miał Alan King.

— Proszę pana! — wyrwał mnie z zamyślenia głos dziewczyny. — Profesor Kranc przy telefonie! Zerwałem się, a ona podała mi słuchawkę.

— Tu Ray Davis — przedstawiłem się. — Prowadzący Alana Kinga.

— Tak, wiem — głos Krańca brzmiał oschle. — O co panu chodzi?

Nieukrywana niechęć tych słów przypomniła mi wszystkie plotki o Krancu, które od lat krążyły w naszym świecie.

Najsłynniejsza opowiadała o tym, jak w tajemnicy kupił sobie odbiornik aliusensoryczny i po narkomańsku, niewolniczo do niego się przywiązał. Całymi wieczorami nie zdejmował hełmu kontaktowego, a często jego uczona głowa tkwiła w nim aż po ostatnie, nocne emocje.

Rzeczywiście było to zabawne, bo publicznie Kranc

przybierał zawsze pozę wyrafinowanego intelektualisty,

aliusensorię i jej ludzi traktował z manifestacyjną pogardą i

utrzymywał, że ogląda tylko telewizję, która stoi o kilka klas wyżej. Za wszelką cenę pragnął być zaliczany do grona

smakoszy, którzy nie uznawali nas zupełnie, dyskutowali o

tradycyjnych środkach masowego przekazu, pod niebiosą

wynosili ich rzekome artystyczne przewagi i chwalili się, że

mogą sobie pozwolić na własne bujne życie. W sumie —

trudno było nie dostrzec w Krancu snoba.

— Chcę tylko spytać, jak się udała operacja —

powiedziałem.

— Jak się udała operacja?! — wykrzyknął. — A słyszał pan, Œeby jakaś się nie udała?!

— AleŜ nie!

— Więć niech mi pan nie zawraca głowy! Dokładnie za trzy tygodnie od dziś zabierze pan pacjenta i nie chcę o nim więcej słyszeć! — sapnął gniewnie i wyłączył się nie czekając na moją odpowiedź.

Nie pozostało mi nic innego, jak równieŜ odłoŜyć słuchawkę. Opuszczając dłoń ku widełkom pomyślałem, Œe i ten wybuch Kranca był tylko na pokaz; profesor świetnie wiedział, Œe dowiadywanie się o pooperacyjny stan przyszłego supermana naleŜy do moich słuŜbowych obowiązków, do uświęconych zwyczajem powinności anioła stróŜa. Zresztą o własnych obowiązkach teŜ pamiętał; najwaŜniejszą informację — termin wypisania Kinga z rejestru pacjentów — mimo wszystko mi przekazał.

Piekielny snob!

Czekała mnie jeszcze jedna rozmowa telefoniczna.

Spytałem dziewczynę, czy mogę skorzystać z jej aparatu, a ona zgodziła się skwapliwie. Wykręciłem numer Głównego Biura Kontroli. Po chwili usłyszałem sygnał gotowości ich komputera. Przypominał odgłos, jaki wydają pęcherze powietrza uciekając z zanurzonego w wodzie dzbanka:

bul, bul, bul, bul...

— Ray Davis. Prowadzący Alana Kinga. Pasma siódme.

Stacja East Wave. Sekcja rodzaju męskiego —

wyrecytowałem dane rozpoznawcze.

Pęcherze powietrza stały się nagle bardzo drobne i zaczęły

uciekać gęściej: pyk, pyk, pyk, pyk... Wiedziałem,

że komputer zajął się odszukaniem wśród setek

pracowników

Biura dyżurnego siedmioosobowej grupy roboczej, która

miała nadzorować moje i Kinga poczynania.

— Słucham — dobiegł mnie po kilkunastu sekundach czyjś

głos.

— Melduje się nowy anioł stróż... — zacząłem.

— Do rzeczy! — przerwano mi stanowczo i nabrałem

przekonania, że przynajmniej jeden z moich kontrolerów

jest zupełnie pozbawiony poczucia humoru.

— Alan King został zoperowany — powiedziałem

zmieniając ton na bardziej oficjalny. — Klinikę opuści za

trzy tygodnie.

— Dobrze. Zatwierdziliśmy już jego pierwszy epizod. Z

radości mocniej zacisnąłem palce na słuchawce.

— Czekamy na dalszy ciąg. Proszę pamiętać o

przynajmniej dziesięciodniowym wyprzedzeniu w stosunku

do emisji.

— Oczywiście — odparłem. — Prześlę materiały, gdy tylko będą gotowe.

Kiedy po chwili wyszedłem na dziedziniec kliniki, jego bruk lśnił od deszczu. Gęsta m&Sawka zimnym kompresem oblepiła natychmiast moją twarz, ale nie zwracałem na to uwagi. Szedłem szybko z głową pochyloną, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie płaszcza.

Kości rzucone — myślałem. — Alan King nale&Szy do mnie, a ci z kontroli akceptują moje pomysły. To coś zupełnie innego ni&S zabawa z fantomami i bezprzekazowymi. Tą samą świerkową aleją wróciłem do samochodu.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce i silnik od razu zaskoczył.

Wyjechałem na szosę, potem na autostradę, a po godzinie sun&Słem ju&S jednym z szesnastu pasm trasy &Sródmiejskiej.

Patrz&Sąc na setki jednakowych trzydziestopiętrowych budynków mieszkalnych, na st&Słoczone na trasie samochody i na sztuczne drzewa, w których koronach ukryto dmuchawy tlenowe, raz jeszcze pomyślałem o profesorze Kranca.

Nienawidził wielkich miast i nowoczesnej architektury. Na jakim&S kongresie medycznym obraził jego uczestników

m&Sówi&Sąc, &S&S ich szpitale ze szk&Sła i stali to fabryki, w. których oni, przyuczeni partacze, niezdarnie próbują remontować

kuk&Sły, które dawno przestały być lud&Sźmi. Sam od lat

kurczowo trzyma&Sł się le&Snego pustkowia, z którego w&Sł&Snie

powraca&Słem. A jeśli w tym i w innych dziwactwach Kranca

kryły się ślady prawdziwych wartości? Wartości, których istoty nie sięgał, które mimowolnie ośmieszał swoimi słabostkami i sposobem bycia, ale przecieŜ wartości. No tak — tylko właściwie jakich? Zamajaczyła mi jedna czy druga myśl, ale nic konkretnego. I zaraz porzuciłem ten wątek; miałem na głowie waŜniejsze sprawy.

II

Alan King obudził się czternaście godzin po operacji.

Pierwszym uczuciem, jakiego doznał, było ogromne zdziwienie; spodziewał się cierpień, pulsowania krwi w skroniach, zaburzeń wzroku i słuchu, a nic takiego nie miało miejsca. To prawda — przepełniało go gęste, duszne zmęczenie, szumiało mu trochę w spowitej bandażami głowie, a wyciągnięte wzdłuż ciała ręce zdawały się ważyć po sto kilogramów każda. Ale bólu żadnego nie czuł.

Pomyślał: więc to już. W ciągu godzin, które minęły od operacji, ostatecznie przestał ponosić odpowiedzialność za swoje życie. A w gruncie rzeczy — za cokolwiek. Nie musiał więcej myśleć o posadach i zarobkach, o karierze, o ambicjach, nawet o życiu osobistym. Mógł także nie obawiać się prawa i krępującej zwykłych śmiertelników moralności. Miano od niego wymagać tylko siły mięśni, zdrowia i radości istnienia, a tego nie brakowało mu nigdy.

Pomyślał: więc nie mam już własnego życia. Co to właściwie oznacza? Same dobre rzeczy: nie jestem skazany na tysiące przypadków, z jakich życie się składa, nie grozi mi robienie planów, co się nie będą chciały spełniać, nie zakocham się w nikim nieszczęśliwie, nie będę drżał z napięcia na myśl o jakimś banalnym zdarzeniu: o spóźnieniu się do pracy albo o wygraniu na loterii.

Wznieść się ponad to wszystko.

Przypomniał sobie niskiego, drobnego mężczyznę w czarnym swetrze, którego przedstawiono mu przed kilkoma dniami. Nazywał się Ray Davis i pracował dla stacji East Waveju od kilku lat. King nie dał nic po sobie poznać, ale w pierwszej chwili był rozczerowany; co może wymyślić taki chuderlawy pajaczek? Dopiero później, gdy pokazano mu napisane przez Davisa szkice przyszłych akcji, ujrzał go w zupełnie nowym świetle. Jakież wizje tworzyło to chuchrp!

Ze szkiców wynikało, że nie zabraknie Kingowi niczego: walk i zwycięstw, pięknych kobiet, polowań na egzotyczne

zwierzęta, luksusowych wnętrz, szybkich samochodów,

pościgów i ucieczek, pułapek, w które wpadnie i z których

— rzecz jasna — z łatwością się wydostanie. Emocji,

przeżyć i doznań. Naprawdę niczego. Zaczął się

zastanawiać, co teraz robi w tej chwili Davis. Może siedzi

właśnie w swoim gabinecie i wystukuje na maszynie plany

kolejnych jego, Kinga, przygód? Wskazuje miejsca; w

których trzeba będzie się znaleźć, opisuje czekających tam

ludzi, stwarza przeróżne sytuacje, układa dialogi, podejmuje

decyzje. Krok po kroku i minuta po minucie — szczegółowo

w przestrzeni i w czasie — wytycza drogi, po których on,

King, pójdzie. Na całe dni. miesiące i lata zapewnia jego

życiu akcję, wpasowuje ją w półrealny świat fantomów i

beprzekazowych, najpiękniejszych krajobrazów, a także

wysokich murów i strasnych wież oddzielających całą strefę zewnętrzną. W świat, którego wcale nie największą niezwykłością jest zupełny brak luster. King wiedział, że od czasu do czasu będzie mu wolno wychodzić za mury, zanurzać się w rozlaną za nimi szarą codzienność miliardów ludzi. Ale wiedział również, że wyjścia te nie wyłamują się nigdy z ram turystycznej wycieczki. Ubrany niepozornie, z twarzą zmienioną przez charakterystykę, tak że nikt jej nie rozpozna, z agentem Służby Spokoju za plecami wędrować będzie ulicami wielkich miast albo promenadami słynnych kurortów. Będzie chłonał panującą wokół spokojną normalność i odpoczywał od stałego napięcia własnej, tak bardzo ekscytującej, powszedniości. Ale nie nawiąże ścisłego — bliższego kontaktu. Z nikim nie zadzierzgnie związków. Pozostanie — jak turysta — obcy.

Pomyślał: przestałem należeć do rzeczywistości, w której upłynęło życie moich rodziców. W której się urodziłem. Wychowałem i stałem mężczyzną. Teraz wkraczam w inny wymiar. A tam wszystko — nawet jedzenie, nawet sen, nawet te krótkie wycieczki na zewnątrz — zależy od Davisa, od mego anioła stróża... I uśmiechnął się do siebie.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do separatu weszła

pielęgniarka.

— O! brawo! — wykrzyknęła spostrzegłszy wyraz jego twarzy. — Pan się uśmiecha! To najlepszy dowód, że pan dobrze zniósł operację.

— Chyba rzeczywiście nie najgorzej — odparł. Pielęgniarka przyniosła tacę, na której w maleńkich kubeczkach grzechotały różnokolorowe pastylki. Wysypała wszystkie do szklanki i zalała wodą; w naczyniu zapieniło się, zasyczał uciekający bąbelkami gaz.

— Proszę to wypić — powiedziała. — Do dna. Przysunęła brzeg szklanki do jego ust, a on bez słowa spełnił jej polecenie.

— To pana wzmocni — dodała, gdy przełknął ostatnie krople.

Poprawiła mu poduszki, zmierzyła temperaturę, wpisała jakieś uwagi do zawieszanej w nogach łóżka karty. Krzątała się potem jeszcze po ciasnej przestrzeni pokoiku i Alan instynktownie wyczuł, że te jej czynności nie są już konieczne, że dziewczyna celowo przedłuża swoją obecność. Przyjrzał się jej uważniej; nie była brzydka. Kiedyś natychmiast odpowiedziałby nawet na drobniejszy dowód zainteresowania z jej strony, na pewno próbowałby zacząć flirt. Kiedyś. Bo teraz uroda i przychylność dziewczyny nie miały już dla niego żadnego znaczenia.

— Przeszedł pan na tamtą stronę — zdawała się czytać w jego myślach. — JakŜeŜ musi juŜ pana nudzić wszystko tutaj! Cóż to jest w porównaniu z tym cudownym Ŝyciem, które pana czeka.

— Cudownym jak cudownym — mruknął z nieszczerym powątpiewaniem; w rzeczywistości uznał, Ŝe słowa .dziewczyny trafiają w sedno.

— Cudownym! — powtórzyła z przekonaniem. — Pełnym przeŜyc, których po tej stronie nie moŜna sobie nawet wyobrazić.

— Przesada. PrzecieŜ wszyscy będą mieli identyczne doznania — czuł cały fałsz swojej skromności, ale brnął dalej. — Pani chłopak teŜ. Wystarczy, Ŝeby od czasu do czasu włoŜył hełm kontaktowy.

— Aha! Jasne! WłoŜy hełm i przeŜyje razem z panem jakąś walkę, tak?

— ChociaŜby — udawał, Ŝe nie słyszy ironii w jej głosie.

— To nie to samo — pokręciła głową. — I pan świetnie o tym wie. Bo tylko na pana ciele zostaną blizny. Roześmiał się.

— To chyba nieszczególna atrakcja!

— A jednak. Na ciele męŜczyzny powinno być trochę blizn.

— No, jeśli tylko o to chodzi, to na moim nie brak ich od dawna.

Długim pasmem przesunęły mu się nagle przed oczyma obrazy wypadków i kraks, przez skórę i mięśnie przebiegł niespokojny dreszcz, jak gdyby odezwał się w nich ból dawnych kontuzji. Bo całkiem bez szwanku King ćwiczył i zwyciężał tylko w walkach Dalekiego Wschodu; w dŹudo, karate i kung-fu, którymi pasjonował się między szesnastym a dwudziestym rokiem Źycia. Nieco później, kiedy sięgnął po mistrzowskie tytuły w dziesięcioboju, musiał juŹ zapłacić swoją cenę: dwa czy trzy nadwreŹenia ścięgien i dotkliwe potłuczenie po pechowym skoku, przy którym zawiodła tyczka. Wreszcie zajął się samochodami i wtedy nastąpiło pęknięcie opony na torze w Monzie; King nie zdołał opanować maszyny i w rezultacie przez blisko kwartał wylizywał się w szpitalu z poparzeń. Jakoś go to nie zniechęciło i szybko wrócił za kierownicę. A na dodatek wynalazł jeszcze jedną karkołomną zabawę — narciarskie rekordy szybkości na alpejskich lodowcach. Okupił je dwukrotnym zakładaniem gipsu. Po razie na kaŹdą nogę. Mimo bolesności tych wszystkich doŹwiadczeń zapominał o nich natychmiast, gdy tylko pojawiała się szansa udziału w jakiejś nowej, nawet najbardziej ryzykownej imprezie. Zrobić to, na co inni się nie powaŹą, walczyć i wygrywać, sprawdzać wciąż samego siebie — całe Źycie było jednym wielkimi zawodami.. A uczynił je takim ulegając Źlepej,

nagromadzonej w nim energii. Dając jej ujście znajdował
czystą radość, a nagrody, oklaski publiczności i nawet
sława stanowiły dalekie, nieważne tło. Zupełnie mylili się ci, którzy za kulisami jego wyczynów
szukali tych zwykłych,
odwiecznych pobudek tysięcy sportowców.

— Po co ty tak szarżujesz? — pytał na przykład Johann
Garin, zaprzyjaźniony z Kingiem sprawozdawca telewizyjny,
który kiedyś sam był zawodnikiem, a po zderzeniu z wozem
rywala stał się sparaliżowanym kaleką. — Wygrałbyś i bez
tego! A ty wyzywasz los! Po co?! Chcesz zaimponować tym
leniwym, ospałym tchórzom na trybunach? Przecież oni
tylko czekają na twoje potknięcie. Na efektowną kraksę,
która ciebie pozbawi zdrowia albo i życia, a im przyniesie
dreszczyk emocji. To stara śpiewka! Dwa tysiące lat temu w
Rzymie ty byłbyś gladiatorem, a oni, ówczesi oni,
podniecaliby się każdym zainkasowanym przez ciebie
ciosem. Wyobrażaliby sobie, że sami wbijają w ciebie
miecze. Oszukańczo, bez najmniejszego zagrożenia
zaspokajaliby instynkty, dla których prawdziwego nasycenia
brakowałoby im odwagi. Nie łudź się — właśnie tacy oni są!
Nie zasługują na szacunek. A tym bardziej na to, żeby się
dla ich przyjemności narażać.

— Ale ja wcale nie dlatego... — mruknął w odpowiedzi King.
Zamierzał jeszcze dodać, że szarżowałby nawet w
wyścigach bez medali i bez pucharów, nawet przy pustych

trybunach. Chciał wytłumaczyć jakoś tę swoją na wskroś osobistą, bezinteresowną pasję, która kazała mu przerzucać się od jednej dyscypliny do drugiej i sama ustanawiała dlań miary sukcesów i porażek. Ale ostatecznie nie powiedział ani słowa więcej; nie umiał wyrazić swoich myśli tak płynnie jak Garin — a poza tym przeczuwał, że rozgoryczony kaleka nie przyjmie żadnych argumentów.

— Prawie ich nie widać — powiedziała dziewczyna. King odbiegł wspomnieniami tak daleko, że minęła chwila, nim skojarzył tę uwagę z prowadzoną wcześniej i urwaną rozmową. Nim zorientował się, że chodzi wciąż o jego blizny.

— Tak — zgodził się. — Wszystko ładnie się zagoiło. A próbując się wstrząsnąć dorzucił:

— Przyszło jak na psie.

W dniach poprzedzających skierowanie do kliniki profesora Kranca doszedł do prawdziwie wielkiej formy; serce pracowało równo, mięśnie pęczyły elastycznie przy każdym ruchu, a płuca wciągały powietrze głęboko i mocno. I chociaż pokonywanie stu metrów w jedenaście sekund czy dwudziestometrowe pchnięcie kulą dalekie były od światowych rekordów, to — jak na jego trzydziesty trzeci rok życia — stanowiły osiągnięcia nie do pogardzenia. Zresztą aliusensoria zadowoliliby się nawet słabszymi

wynikami. Bardziej liczyło się jego doświadczenie
wyścigowego kierowcy, oko doskonałego strzelca
i wszechstronna sprawność organizmu — wy trenowanego,
a przecież nigdy nie trutego środkami dopingującymi. Za
tydzień czy dwa, gdy tylko minie pooperacyjne osłabienie,
miał w pełni dowieść, co potrafi. Pomyślał: ciekawe, co o
mojej decyzji sądzi Johann? Musiała chlusnąć jak strumień
wody na jego młyn; przecież w porównaniu z człowiekiem,
któremu wszczepiono przekaźnik aliusensoryczny, rzymski
gladiator wiódł spokojne, prywatne życie, a jego niewola
była tylko łagodnym ograniczeniem swobody. Gdy się
pomyśli o władzy, jaką ma nade mną ten Davis z East
Wave, i o wszystkich odbiorcach moich emisji, cesarz i
rozwrzeszczane tłumy wokół areny Colosseum przybierają
postać niegodnej wspomnienia błahostki. Tak, tym razem
Johann musiał ostatecznie uwierzyć w moją sprzedajność.
Próżność, chęć błyszczenia, zupełną głupotę i licho wie co
jeszcze. No dobrze, ale jakie on ma prawo, by mnie sądzić?
Ten moralista sam zakłada co wieczór hełm kontaktowy,
kazał nawet zamontować specjalne podpórki przy zagłówku
swojego inwalidzkiego fotela. Zresztą to nie ma nic do
rzeczy. Dość filozofowania! I tak nie mogę zawrócić. Alan
King po raz drugi otrząsnął się z zadumy. I zaraz napotkał
wlepione weń oczy pielęgniarki. Wciąż odwlekała swoje

odejście, kokietowała go każdym gestem, wdzięczyła się.

Pomyślał: zwariowała baba czy co? A w następnej sekundzie sam sobie odpowiedział: nie, nie zwariowała.

Teraz już wszystkie będą go tak traktować. Podziw, 'uwielbienie, miłość — oto czego spokojnie może od wszystkich oczekiwać. Został przecieŜ oficjalnie zamieniony w supermana.

III

Chciałem, żeby King jeździł na motocyklu. Sam korzystałem wyłącznie z auta i chyba właśnie dlatego motocykl wydawał mi się czymś o wiele atrakcyjniejszym. Tęsknotę za posmakiem konnej galopady, za gwizdem wiatru w uszach i upajającym poczuciem swobody, jaką mogą dać dwa kółka, odgadywałem zresztą w duszach większości odbiorców aliusensorii.

Kilka dni buszowałem po przepastnych magazynach rekwizytów w poszukiwaniu właściwej maszyny. I wreszcie w jednym z najdalszych kątów trafiłem na prawdziwe чудо.

To był historyczny zabytek — czerwony Indianin-Skaut, typ 500-SV, wspaniała zabawka dla dorosłych mężczyzn

wyprodukowana w 1937 roku przez firmę panów Hendee i Hedstroma. Dwa cylindry jej dwudziestokonnego silnika

łączyły się podstawami w symbolizującą zwycięstwo literę

"V", szerokie, stalowe strzemiona pozwalały pewnie oprzeć stopy, lśniąca chromem kierownica przypominała kształtem

łuk Winnetou, a ręczna dźwignia zmiany biegów

zakończona była drewnianą gałką. Właśnie ta gałka

przekonała mnie ostatecznie; mahoniowa, ciemniejąca

szlachetnym brązem, tysiącami dotknięć niegdysiejszych

jeźdźców, wygładzona jak poręcze schodów w starych

budowlach. To ona ukazała mi motocykl w zupełnie innym

świecie, kazała skójrzyć oderwane na pierwszy rzut oka elementy: świetną stal, naturalną skórę siodełka, precyzję wykonania kaŜdego detalu — symptomy doskonałości nieosiągalnej dla dzisiejszych pojazdów z tandetnej blachy i plastyku.

Motocykl był w idealnym stanie; po paru zabiegach konserwacyjnych i napełnieniu baku mógł ruszyć w drogę. Ale nie zamierzałem go po prostu Kingowi ofiarować. Taki skarb nie powinien mu przyjść zbyt łatwo. Od pierwszej chwili musiał związać się z nim jakimś dramatycznym przeŜyciem, momentem emocji, który nie uleci z pamięci, solidną porcją ryzyka. King musiał tę maszynę zdobyć. Odpowiednie zdarzenie zaplanowałem na trzeci dzień po wejściu Kinga w strefę wewnętrzną. Scenariusz był prawie go(ow do przekazania ekspertom z Głównego Biura Kontroli.

Zastanawiając się juŜ nad samym finałem, przerzuciałem zapisane wcześniej stronice.

„Alan King idzie ulicą małego miasteczka. Z ogłuszającym rykiem silników mija go defilująca wolniutko banda motocyklistów. Jej herszt, zwalisty brodacz o ogolonej do skóry czaszce, prowadzi swoich ludzi na wspaniałej, czerwonej pięćsetce. King od razu spostrzega tę maszynę; zachwyconym spojrzeniem prześlizguje się po reflektorach,

silniku, kołach... I natychmiast przyspiesza kroku, by ruszyć śladem plującej spalinami kawalkady.

W miejscu gdzie ulica zamienia się w szeroką, sięgającą horyzontu szosę, przycupnęła niewielka stacja benzynowa.

Tutaj zatrzymują się motocykliści. Tutaj teŜ dogania ich King.

— Ta zabawka musi być moja — mówi wskazując motocykl herszta.

— Pyskaj, póki czas, frajerze — odpowiada herszt.

— Dostaniesz trzysta — nie zamierza ustąpić King.

— Powiedziałem: pyskaj! To nie jest na sprzedaŜ!

— Muszę go mieć.

— Więc weź go sobie.

Herszt uśmiecha się ironicznie, a zza jego pleców wychodzi jeden z adiutantów. Metalicznie lśniący, sięgający ramion cylinder okrywa mu głowę i kark, a twarz zasłania przyłbica z nieprzejrzystego, czarnego pleksiglasu. Ten hełm to prawie jedyne jego odzienie; nagie, bez mała dwumetrowe cielsko pręŜy się ukazując węzły mięśni. Olbrzym wolno zbliŜa się do Kinga i ostentacyjnie poprawia wsunięty na prawą pięść kastet.

— Zostaw mnie w spokoju, dziecinko — mówi King.

Przeciwnik nie reaguje i podchodzi jeszcze o krok.

— Tak będzie lepiej dla ciebie — dodaje King.

Opancerzona kastetem pięść wylatuje ku ustom Kinga. Ale on jest szybszy: zasłania się skrzyżowanymi dłońmi, zamyka ramię atakującego w kleszczach chwytu, cały napina się w gwałtownym wysiłku. Słychać suchy trzask łamanej kości. Olbrzym cofa się. Jego prawica zwisa bezwładnie — jak pusty rękaw. Kamraci patrzą na tę klęskę w zupełnym milczeniu.

Ale zaskoczenie trwa tylko chwilę. Ktoś wkłada do lewej ręki olbrzyma potężny klucz francuski i ranny, mimo bólu, ponownie skacze do walki. I tym razem King nie daje mu żadnej szansy. Brawurowym rzutem całego ciała zbija go z nóg. Porywa i unosi w górę. Ciska przed siebie. Po sekundzie bezwładnego lotu długa sylwetka ląduje na ziemi. Pleksiglasowa przyłbica roztrzaskuje się o betonowy krawężnik. Spod cylindra osłaniającego głowę zaczyna sączyć się krew.

W zapadłej po raz drugi śmiertelnej ciszy rozlega się wizg błyskawicznego zamka: herszt rozpiną skórzaną bluzę i wyrywa zza pazuchy pistolet. Naciska spust. Tylko refleks ratuje Kinga — klasycznie wykonany pad sprawia, że kula, która miała przewiercić czoło, poprzestaje na draśnięciu potylicy. I chociaż włosy zlepia mu krew, King nie traci przytomności. Węskwym skrzętem odskakuje za węgiel najbliższego budynku. Podrywa się i zaczyna biec. Długo

trwają ucieczka i pościg. Oprócz herszta jeszcze dwóch członków bandy ma pistolety, więc kule gęsto świszczą wokół Kinga. Ale Śadna go nie dosięga. Wreszcie przy jednej z ulic King spostrzega budynek ze znakami SłuŜby Spokoju. Wpada do środka. Na jego widok zrywają się ze swoich miejsc trzej funkcjonariusze.

— Dajcie mi spluwę! — wykrzykuje King. — Gonia mnie!

Są uzbrojeni!

Funkcjonariusze sięgają po pistolety.

— Sami damy sobie radę. A ty na razie włącz tutaj — mówi najstarszy rangą i wskazuje okratowaną część pokoju, w której mieści się areszt.

— Oszalałeś?! — próbuje stawiać opór King.

— Włącz! — powtarza funkcjonariusz i lufę swego pistoletu wycelowuje w pierś Kinga. Trzeba ustąpić. Krata zostaje zatrzęsnięta, a przekręcony ze zgrzytem klucz znika w kieszeni munduru.

— Oddajcie nam cwaniaka, co się u was schował — rozlega się z zewnątrz głos herszta bandy motocyklistów.

— Jeśli to zrobicie, zostawimy was w spokoju!

— Chodźcie tu po niego! — odkrzykuje dowódca posterunku. — Tylko musicie rzucić broń! Łapki trzymać nad głową!

Banda odpowiada strzałami; kule rozbijają szyby i zasypują

pomieszczenie okruciami odłupywanego ze ścian tynku.

Kanonada nie trwa nawet pełnej minuty, gdy pierwszy funkcjonariusz wali się na ziemię z roztrzaskaną czaszką.

Drugi skacze do niego i w tej samej chwili też dosięga go kula. Ostrzeliwuje się już tylko dowódca.

— Wypuść mnie! — krzyczy King. — Sam nie dasz rady!

Funkcjonariusz nie odpowiada. Celuje starannie i wciąż strzela. Ale wypatrując przeciwników na ulicy nie dostrzega, że jeden z nich wdrapał się na dach pobliskiego budynku.

Stamtąd wewnątrz posterunku widać jak na dłoni. Pada strzał. Na piersi ostatniego obrońcy wyrasta szybko czerwona plama. On sam osuwa się na ziemię.

— Wypuść mnie! — krzyczy znowu King. — Przecież zastrzelą mnie jak psa!

Funkcjonariusz próbuje wstać, ale zaraz pada znowu.

Słabnącą ręką wyciąga z kieszeni klucz i rzuca go w kierunku kraty, za którą uwięziony jest King.

Niestety — zbawczy kawałek metalu chybia celu. Razem z kółkiem, do którego jest przyczepiony, ląduje kilkadziesiąt centymetrów za blisko. Jego brzęknięcie o posadzkę złowrogo wypełnia ciszę, jaka zapadła po przerwaniu ognia.

King kładzie się na brzuchu, jak najdalej wysuwa ramię pomiędzy prętami kraty, próbuje dosięgnąć klucza. Ale jego

palce bezradnie drapią podłogę o kilka milimetrów od drucianego breloczka.

Słyszą już ściszone głosy skradających się motocyklistów.

King podejmuje ostatni rozpaczliwy wysiłek. Dosięga klucza! Błyskawicznie otwiera drzwi aresztu, chwytając leżący najbliżej pistolet i prawie na oślep oddaje kilka strzałów w kierunku wejścia. Słyszą krzyki i odgłos padających ciał; ci, których wysłano na rekonensans, wypadli z gry! King kładzie się teraz na ziemi, ładuje magazynek, podczołguje się do okna i, wciąż leżąc, lustruje okoliczne dachy.

Dostrzega przyczajonego za kominem strzelca. Bierze go na muszkę i po chwili bezwładnie ciało wali się na ulicę.

Został już tylko jeden uzbrojony motocyklista, — sam herszt.

— Hej! Ty tam! — woła King. — Może wyjdiesz na spotkanie?!

— Sam wyłaź! — odpowiada herszt.

King kopnięciem wywala podziurawione kulami drzwi posterunku, przeskakuje przez leżące za nimi ciała i przypada do zaparkowanego tutaj radiowozu. Po drugiej stronie jezdni, za innym samochodem, miga ogolona głowa.

King strzela, ale tym razem nie trafia.

— Wiem, że tam jesteś! — woła King. — Wstawaj!

Podnoszą się obaj równocześnie. Wpatrzeni w siebie

wolniuteńko wychodzą na otwartą przestrzeń. Pistolety cięsko wiszą w ich na pozór bezwładnie opuszczonych rękach.

— Wciąż masz ochotę na moje kóleczka? — pyta herszt.

— A jak myślisz?

Herszt próbuje unieść pistolet, ale King celuje i strzela szybciej; przywódca motocyklistów przygarbia się, pochyla, klęka... Wreszcie pada martwy".

Mój szkic tworzył tylko ułamek dzieła. To dopiero po jego zatwierdzeniu przez Główne Biuro Kontroli zaczynała się prawdziwie wielka, smudna robota całego zespołu specjalistów aliusensorii. Trzeba było sporządzić i zaprogramować fantomy, które wystąpią w rolach postaci tracących życie. Odpowiedni trening musieli przejść wyznaczeni do akcji bezprzekazowi drugiego planu.

Wreszcie musiał się psychicznie przygotować do nowej przygody sam King. A szczegóły czysto techniczne?

Rozlokowanie wzmacniaczy przekazu, synchronizacja czasów stref zewnętrznej i wewnętrznej, zapewnienie setek rekwizytów? Mrówczy wysiłek! Ale to nie on zaprzętał moje myśli. Dręczył mnie brak efektownego zakończenia dla motocyklowego epizodu, brak puenty, która byłaby na miarę poprzedzających ją zdarzeń. Bo co? — miał King po prostu odjechać na krwawo zdobytym stalowym rumaku?

Wydawało mi się to za mało dramatyczne. **Za** ubogie, a nawet za mdłe. Nie przychodziło mi jednak do głowy nic ciekawszego.

Poczułem zmęczenie. Odsunąłem maszynę, w której tkwiła zapisana w trzech czwartych kartka, i opadłem na oparcie fotela. Przez chwilę siedziałem z przymkniętymi oczyma, a później podniosłem się i poszedłem do pokoju Anny. Tonął w półmroku, a ona sama spoczywała na tapczanie. Jej ciało było zupełnie nieruchome, a głowa ginęła w białej bani Hełmu kontaktowego. Sprawdziłem numer kanału nastawiony na programatorze i sięgnąłem po porzucony na nocnym stoliku informator z rozkładem akcji aliuserwicznych. „Gloria Robins poznaje nowego chłopca i zakochuje się od pierwszego wejrzenia. Prowadząca Glorii, Maria Sonner, przygotowała momenty, jakie pragnie przeżyć każda kobieta” — przeczytałem anons starannie zakreślony przez Annę. Uśmiechnąłem się. Znałem dobrze Marię Sonner i jej twórczość. Mogłem sobie bez trudu wyobrazić koktajl, który przyrządziła: księżyc, plaża z szumiącymi palmami, lalkowaty pętał ubrany z przesadną elegancją, sto tysięcy czułych westchnień i pocałunki w samochodzie zaparkowanym w przydrożnym lasu. Oto wszystko, co przeżywała teraz moja Sona. Biedna Anna! Byliśmy małżeństwem od dwunastu lat, jak większość

naszych rówieśników nie mieliśmy dzieci, a moje wysokie zarobki czyniły jej pracę zupełnie zbyteczną. Więc cóś właściwie miała robić? słyła aliusensoria. Na całe dni zamieniała się w kobiety z programów: w milionerki--podróŜniczki. we wspaniałe wampy, we wprowadzane dopiero w Ŝycie słodkie idiotki, w sportsmenki, i we wszystkie inne postacie wymyślone w sekcjach rodzaju Ŝeńskiego dziesiątków stacji. Teraz była szesnastoletnią Glorią Robins; przez jej oczy patrzyła na cukierkowe pejzaŜe, jej uszami słuŜała banalnych wyznań, jej palcami nieśmiało pieściła dłoń idącego obok smarkacza. Biedna Anna!

W przypiływie nagłej, pełnej poczucia winy czułości pogłaskałem jej ramię. I natychmiast zdałem sobie sprawę z całego bezsensu tego gestu; Anna nie mogła go przecieŜ odebrać. Jej mózg chłonał wyłącznie sygnały przysyłane przez zmysły dalekiej, młodziutkiej Glorii. A własne ciało Anny było w tym momencie odtrąconymi przez świadomość, niemo pulsującymi mięśniami.

Wróciłem do siebie. I teraz juŜ szybko dokończyłem pisanania: „W kilku skokach King przebiega od trupa do trupa i zbiera rozrzuconą broń. Z gotowymi do strzału pistoletami w obu dłoniach spędza w jednym miejscu wszystkich pozostałych przy Ŝyciu członków bandy. Potem prowadzi ich na stację

benzynową. Odstawia na bok maszynę herszta, a z innych motocykli nakazuje ułożyć wielki stos. Chwyta wężyk dystrybutora paliwa i — niczym ze strażackiej sikawki — oblewa stos. Rzuca zapalną. Po chwili ogarnia wszystko huczącą czerwienią. King bez pośpiechu odwraca się i podchodzi do zdobycznego pojazdu. Zapuszcza silnik, wskakuje na siodełko i odjeżdża w kierunku centrum miasteczka. Ale to tylko manewr, bo już przed pierwszym skrzyżowaniem zawraca. Przyspiesza mocno i jedzie wprost na ścianę ognia. Jeszcze przyspiesza. I jeszcze. Z pełną szybkością wtacza się na wzniesiony obok stacji pomost do badania samochodowych podwozi i wybija się mocno. Wystrzela w powietrze jak z katapulty. Przelatuje tuż nad jezorami płomieni. Miętko ląduje po drugiej stronie. I — nie zmniejszając szybkości — oddala się szosą. Ku zachodzącemu słońcu".

IV

Alan King siedział nagi na brzegu szpitalnego łóżka.

Wszystkie rzeczy, w których przyszedł do kliniki profesora

Kranca, zabrano już do jakiegoś bliżej nie określonego

depozytu, a kostium uszyty w warsztatach krawieckich

aliusensorii jeszcze nie nadszedł. Sytuacja przypomiała

mu przeczytane niegdyś książki o dawnych armiach; przed

wstąpieniem w ich szeregi też trzeba było rozebrać się do

naga, z cywilnym ubraniem odrzucić dawną osobowość i

przybrać nową, której domagał się mundur. Pomyślał:

„Sółnierz tak się przestawał decydować o własnym życiu,

musiał wypełniać rozkazy, tak jak ja tracił prawo do

samodzielnych rozstrzygnięć... Od kilku dni Alan bardzo

pragnął przekonać siebie, że jego utrata wolności nie jest

ładną niezwykłością. Cierpliwie wyszukiwał dowody na to,

że przygody podobne do jego własnej zdarzały się ludziom

już przed wiekami. I że nie nosły ze sobą aż tak wielkiego

zła. A jednak wciąż nie mógł się uspokoić. Momentami

wydawało mu się — tak samo jak w pierwszych godzinach

po ustaniu działania

narkozy — że wkroczył w najwspanialszy okres życia, w

krainę nieustannego szczęścia, do prawdziwego raju. A już

kilka chwil później ogarniała go dręcząca tęsknota za

utraconym. Zniemacka spadało nań poczucie winy

wywołane przeświadczeniem, że coś lub kogoś zdradził, że wyparł się wartości, które były wielkie i ważne, chociaż na dobrą sprawę nie potrafił ich nawet nazwać. Pomyślał:

najwięksi mędracy od dawna nie wiedzą, co dobre, a co złe...

granice się zatarły, rozplynęły, straciły sens... daj sobie

lepiej spokój — jesteś tylko supermanem... takich jak ty nie

stać na wahania i wątpliwości... Drzwi separatki otworzyły

się i w progu stanął Ray Davis.

— Cześć! — zawołał i rzucił Alanowi wypchany, plastikowy

worek. — To ciuchy dla ciebie. Ubieraj się. Zaraz jedziemy.

Alan rozwiązał worek i wytrząsnął jego zawartość na łóżko.

Zaskoczony zaczął oglądać szare, wytarte spodnie,

połataną koszulę, niemodną marynarkę i o wiele za duży na

niego płaszcz.

— Trochę kiepskie jak dla supermana, co? — roześmiał się

Davis. — Pamiętaj, że pojedziemy przez strefę zewnętrzną.

Nikt nie powinien cię rozpoznać... Gestem ręki Alan

powstrzymał dalsze wyjaśnienia.

— Zapomniałem — mruknął, a potem szybko zaczął się

ubierać.

Po chwili był gotów.

— Dobra! — powiedział Davis uważnie mu się

przyjrzawszy.

— Teraz chodź tutaj.

Ustawił Alana przed lustrem, które wisiało nad umywalką w rogu pokoju. Wydobyl z kieszeni niewielkie pudełko. Zdjął wieczko i w otworze ukazała się pomięta, szaroróŝowa, lekko błyszcząca szmatka.

— Odchyl głowę do tyłu! I zamknij oczy! Alan posłusznie wykonał polecenie. Usłyszał szum puszczonej wody, a zaraz potem poczuł na twarzy przykre, wilgotne dotknięcie.

Davis rozciągał szmatkę na jego czole i policzkach, ugniatał na nosie i brodzie, wklepywał w powieki i wargi.

— Juŝ! — powiedział po chwili. — Teraz moŝesz popatrzeć.

Alan spojrział w lustro. Zobaczył siebie. Ale siebie jakŝeŝ zmienionego: wokół oczu wyrosła mu gęsta sieć

zmarszczek, kąciki ust wygięły się ku dołowi w bolesnym grymasie, całe oblicze zwiotczało i obwisło. Był starcem.

— Tego teŝ zawsze juŝ będziesz uŝywał. Własną twarz masz tylko dla aliusensorii. W strefie zewnętrznej musisz nosić maskę.

— Przecieŝ dzisiaj nikt mnie jeszcze nie zna...

— Rzeczywiście, na razie nie — zgodził się Davis. — Ale lepiej, ŝebyś się przyzwyczaił od samego początku. Opuścili gmach kliniki, szybko przeszli ŝwierkową aleją do bramy w kamiennym murze, tuŝ za nią wsiedli do samochodu

Davisa. Ruszyli ku autostradzie. — Nie lubię nudzić... —

zaczął ostroŝnie Davis — sądzę jednak, ŝe dobrze będzie,

jeśli jeszcze raz powtórzmy sobie podstawowe zasady...

— Oczywiście — Alan westchnął z ostentacyjną

rezygnacją;

wiedział już, że Davis lubi nudzić, i to bardzo. I że w tej

chwili nic go od tego nie powstrzyma.

— To świetnie, że jesteśmy jednego zdania — ucieszył się

najwyraźniej Davis. — Zaczniemy od techniki czytania

scenariusza...

Zasadniczym, belferskim tonem przypomniał Alanowi, że

zapoznając się ze szkicem nowej akcji powinien wczuwać

się

w ogólny nastrój epizodu, a nigdy nie rozpraszać myśli

szczegółami. Podobnie ma podchodzić do dialogów;

zapamiętać sens, a nie pojedyncze słowa. Improwizacja

zawsze powiększa wrażenie autentyczności, nawet fantomy

mają w programach swoich kwestii pewien margines

wyboru. Na wkuwanie na pamięć nie ma zresztą czasu;

dokładny scenariusz wręcza się supermanowi na dwie

godziny przed rozpoczęciem emisji. Właśnie po to, by miał

ogólne pojęcie o tym, co go czeka, ale by nie zdążył

nadmiernie wszystkiego wykalkulować. Wreszcie

wkomponowane w akcję popisy akrobatyczne —

uwzględniają umiejętności i kondycję Alana. I wcale nie

stawiają przed nim zadań wyśrubowanych; przy

maksymalnym wysiłku mógłby na pewno dokonać sztuk o połowę trudniejszych. Więc niech teŜ za wiele nad nimi nie дума — wystarczy, Ŝeby trzymał się w odpowiedniej psychofizycznej gotowości. Alan potakiwał bez słowa kiwając głową.

— Teraz sprawa uŜycia broni — ciągnął Davis. — Wolno ci strzelać tylko do fantomów. Po czym odróŜnisz fantom od prawdziwego człowieka?

— Po błękitnym kółku — odparł z niechęcią Alan; zawsze jednakowo denerwowały go egzaminy z zagadnień oczywistych. — KaŜdy fantom ma naszyte na ubraniu błękitne kółko.

— Na lewej piersi, tak?

— Tak.

— No dobrze. Trafić musisz w czoło albo w serce. W tych dwóch punktach fantomy mają zamontowane pojemniki z krwią i wyzwalacz programu agonii. Jeśli spudłujesz...

— Na treningach rozwaliłem ponad dwieście fantomów! — przerwał Alan naprawdę tracąc cierpliwość. — Nie spudłowałem ani razu!

— Wiem, wiem — pojednawczo przytaknął Davis. —

PrzecieŜ chciałem ci tylko przypomnieć... Z kolei zaczął ostrzegać Alana przed zwierciadłami. MoŜna z nich korzystać tylko w ośrodku rekreacyjnym; przy goleniu się,

przy ubieraniu... Przystępując do akcji nie wolno mieć przy sobie nawet najmniejszego, kieszonkowego lusterka. Przez roztargnienie można by w nie spojrzeć, a wtedy cały efekt iluzji aliusensorycznej diabli wezmą;

odbiorcy zamiast własnych rysów zobaczą cudzą twarz. Z tego samego powodu nie mają lusterek wstecznych używane w strefie wewnętrznej pojazdy. Zresztą superman w ogóle powinien unikać swojego odbicia — nie zatrzymywać się przed dużymi oknami, nie pochylać nad spokojną wodą, a nawet nie brać do rąk zbyt wygładzonych błyszczących przedmiotów. Krążyć wśród

ludzi aliusensorii takie powiedzenie: "Jeśli w czasie emisji ujrzałeś własną twarz — cały musisz zniknąć z firmy". Davis powiedział, że bardzo nie chce, by taka klęska spotkała Alana.

— Jeszcze wychodzenie w strefę zewnętrzną — przeszedł do następnego tematu. — Zawsze powinieneś wyglądać tak, jak w tej chwili: znoszone, niemodne ubranie, rysy twarzy postarzone maską o trzydzieści lat... Nikt nie może cię rozpoznać...

— Raz mi to już dzisiaj mówiłeś.

— Tak. Ale muszę jeszcze coś podkreślić: nie wolno ci myśleć, że ten przepis wynika z naszej zachłanności. z roszczenia sobie jakichś praw do ciebie. Ten strój i maska to jedyny skuteczny sposób, żeby cię chronić.

— Przesada...

— Wcale nie przesada. Przecież nie zawsze twoimi partnerami w akcjach będą fantomy i bezprzekazowi. Od czasu do czasu spotkasz się oków oko z innym supermanem albo z jakąś wspaniałą supermanką. I wtedy, poprzez ich oczy, twój obraz trafi do milionów ich odbiorników. Zresztą zupełnie tak samo jak ich obraz, który poprzez twój wzrok trafi do milionów twoich odbiorców. Ty ich uczynisz znanymi odbiorcami naszej stacji, a oni wśród odbiorców swojej spopularyzują ciebie. Myślisz, że później nadal będziecie mogli niezauważenie odwiedzać strefę zewnętrzną?

— Nie! — Alan prawie krzyknął rozdrażniony tym, że Davis uparł się wszystko tłumaczyć mu jak półgłówkowi. — Świetnie wiem, że staniemy się sławni, że mnóstwo ludzi będzie nas poznawać. Ale jest chyba jakaś różnica między popularnością a potrzebą ochrony, nie? To miałem na myśli mówiąc, że przesadzasz.

— A ja jeszcze raz twierdzę, że nie przesadzam! Pamiętaj, że coraz więcej ludzi nie rozróżnia już rzeczywistości i przeżyć wywołanych przez hełm kontaktowy. Co będzie, jeśli ktoś, kogo pod postacią i za pośrednictwem innego supermana pokonałeś, zechce się zemścić? Jeśli zaatakuje cię z nienacka? A jeśli kobieta, której aliusensorycznym kochankiem byłeś, zechce cię zatrzymać? A jeśli takich

kobiet pojawi się na raz kilka? Albo kilkanaście? Nie bój się — ci, którzy wymyślili przepis o maskowaniu się w strefie zewnętrznej, wiedzieli, co robią. Alan nie próbował powiedzieć nic więcej. Jechali teraz przez centrum miasta; obok nich przesuwały się wolno tysiące samochodów, w przezroczystych tunelach chodnikowych tłoczyły się niezliczone sylwetki, po niebie sunęły ciężko areobusy o lśniących, wielorybich brzuchach. Panował nieopisany zgiełk, ale tym, którzy w nim tonęli, zdawał się zupełnie nie przeszkadzać. Ludzie mrowili się w pośpiesznym, chaotycznym tańcu śródmieścia i nic nie świadczyło, że już niedługo cały ruch urwie się gwałtownie i ustąpi miejsca martwej pustce. Stanowi, który' nieodmiennie spada na miasto w godzinie rozpoczęcia emisji aliusensorycznych.

— Nie śal ci? — spytał Davis zataczając szeroki luk ręką, wskazując nim wszystko, co kipiało, huczało i tętniło wokół nich.

— Nie — Alan pokręcił głową. — Nikt tutaj nie jest mi specjalnie bliski. Matka i ojciec nie żyją od dawna, rodzeństwa nie miałem. A z nikim też nie zdołałem się trwale związać...

— A przyjaciele?

— Właściwie tylko jeden — Johann Garin.

— Ten sprawozdawca?

— Tak. To jedyny człowiek w strefie zewnętrznej, z którym chciałbym od czasu do czasu porozmawiać.

— Myślę, że nie będzie przeszkód. Samochód wyrwał się z objęć miasta i przyspieszał na szerokim pasie autostrady.

Jechali jeszcze godzinę, nim obok trasy pojawiła się wielka tablica ostrzegawcza:

„Granica Strefy Zewnętrznej”. Przemknęli przez

kilkusetmetrowy pas ziemi niczyjej i wkrótce zobaczyli

następną tablicę: „Granica Wewnętrznej Strefy

Aliusensorycznej. Wstęp surowo wzbroniony”. Kawałek

dalej drogę zamykał szlaban i posterunek Służby Spokoju.

Wartownik uważnie sprawdził ich dokumenty, zapisał

numery samochodu i czas przyjazdu w specjalnej karcie,

przez walkie-talkie przekazał meldunek o ich przybyciu

dalszym strażnikom i dopiero wtedy pozwolił kontynuować

podróż.

Nie trwała już długo. Po trzech czy czterech kilometrach

Davis zjechał na pobocze i zgasił silnik.

— Dalej pójdziesz piechotą — powiedział. — Sam. To tutaj

— to poligon 143. Nie najgorsze miejsce; trochę lasów,

jeziora, dwa ładne miasteczka. Spędzisz tutaj prawie trzy

tygodnie. Potem przeniesiemy cię na poligon 744 — to

wysepka na Morzu Egejskim. Planuję też parę akcji w

strefie wewnętrznej Nanda Dewi, w Himalajach. Ale to

bardziej odległa przyszłość... Alan otworzył drzwiczki samochodu.

— Zaczekaj! — Davis położył mu rękę na ramieniu. —

Obiecałem sobie, że sam zdradzę ci fabułę twojej pierwszej akcji. To trochę wbrew przepisom, ale za kwadrans i tak wręczą ci scenariusz... Zastanawiał się przez chwilę.

— No więc tak... Będziesz dzisiaj bokserem. Wszystko zacznie się od tego, że przybędziesz do miasteczka — bez bagażu, piechotą, samotnie... Prawdziwy człowiek znikąd. Zaczepi cię banda młodych ludzi. Zaproponują walkę z ich przywódcą, miejscowym osiłkiem. Najpierw nie . będziesz chciał się zgodzić. Wtedy zaczną z ciebie kpić, dopuszczając się coraz śmielszych zaczepki i prowokacji. Wreszcie ustąpisz. Zorganizują wszystko z pompą — ring, rękawice, sędziowie. Całe miasteczko zbierze się na widowisku. Rozpocznie się walka. Twój przeciwnik to kaskader, bezprzekazowy drugiego planu. Według scenariusza ma cię oszczędzać i tylko markować ciosy, ale na wszelki wypadek lepiej się pilnuj. W siódmej rundzieⁿ zacznie się odsłaniać

— wtedy lej! Nie śańuj go — za to mu płacą. Do końca rundy musisz go ostatecznie znokautować. Nie byłoby źle, gdyby przeleciał przez liny... Davis zamilkł i znowu przez chwilę się zastanawiał.

— I to właściwie wszystko — dodał. — Krótka emisja,

niepełne trzy godziny. Ale to twoje wejście w nasz świat.

Mam nadzieję, że odbiorcy polubią być tobą... — Ja też...

— I nie denerwuj się zbytnio, pamiętaj, że zawsze nad tobą
czuwam.

Alan roześmiał się.

— Jasne, aniele stróś! — powiedział.

Ucisnął wyciągniętą dłoń Davisa, wysiadł z samochodu

i ruszył we wskazanym kierunku.

V

Jak co dzień jechałem do ośrodka kontroli emisji, by zasiąść przy aparaturze analizującej materiał nadchodzący z przekaźnika wszczepionego w mózg Kinga. Bo ja nie mogłem beztrosko zagłuszyć własnej jaźni doznaniem zmysłów supermana, zachłysnąć się narkotykiem jego wspaniałych wrażeń, stać się nim. W skupieniu odbierałem wszystko świadomie i oddzielnie; na wielkim ekranie to, co widziały oczy Kinga, w miękkich muszlach słuchawek to, co słyszały jego uszy, w aparacie przypominającym maskę tlenową zapachy, które łowiły jego nozdrza, a na owalnych tarczach w roztańczonych wskazówkach impresje zanotowane przez jego skórę i mięśnie. Śledziłem każdą zmianę w rytmie jego serca, każdy wzrost ciśnienia jego krwi, każdą dodatkową kreskę temperatury jego ciała. Czuwałem.

Gdzieś daleko przede mną utworzył się na trasie śródmiejskiej buchający ogniem zator i wszystkie osiem pasm prowadzących w moim kierunku dotknął nagły, narastający w pisku hamulców paraliż. Pojedyncze klaksony zagrały uwerturę i już po chwili rozbrzmiewały zewsząd tysiące buczków. Zanosilo się na dłuższe czekanie. Odchyliłem głowę na oparcie fotela i pozwoliłem moim myślom odskoczyć w przeszłość, a później wolno

wędrować z powrotem, do teraźniejszości. Już blisko rok mijał od dnia, w którym zacząłem programować przeŜycia Kinga w strefie wewnętrznej. Zapewniłem mu w tym czasie kilkadziesiąt zwycięskich walk, kilkanaście podbojów miłosnych, dwa udane napady na banki, odkrycie ładu złota na zatopionym pirackim galeonie i cały szereg pomniejszych przygód. Szczerze powiedziawszy, budowałem te wszystkie epizody w oparciu o jeden schemat złoŜony z kilku prostych, sprawdzonych elementów. Był więc sam King — awanturnik-indywidualista, nie zawsze uczciwy i szlachetny, ale zawsze odwaŜny, nieodmiennie Ŝądny nowej próby. Byli przeciwnicy — działający stadnie i pozbawieni wyobraźni, ale agresywni i silni. Była wreszcie wielka wygrana — piękna dziewczyna, worek złota, wyścigowy samochód albo chociaŜ symboliczny drobiazg: amulet, insygnium, totem... Za kaŜdym razem wydarzenia przebiegały podobnie: samotny King pojawiał Się na nowym, obcym terenie, natychmiast wdawał się w awanturę z wielką liczbą wrogów, pokonywał ich, brał sobie to, na co akurat miał ochotę, i oddalał się swoją drogą po to tylko, by następnego wieczoru powtórzyć zabawę w innym miejscu. Z tych nieoczekiwanych przybyć i poprzedzonych zwycięstwami

zniknąć wykształcił się szybko osobisty styl Kinga, maniera wyraźnie odróżniająca go od supermanów innych stacji. W pewnym momencie obawiałem się nawet, czy nie za łatwo to przyszło. Czy nie osiągnąłem tego zbyt prymitywnymi środkami i czy nie za długo gram na jednej strunie? Ale potem testy przeprowadzone wśród odbiorców rozwiąły moje wątpliwości; liczba czterystu tysięcy mężczyzn, którzy przesyli razem z Kingiem jego pierwszy program, po kwartale urosła do dwustu milionów stałych" komwiwantów, zaś kobiet wcielających się w jego partnerki w czasie połączonych emisji sekcji męskiej i żeńskiej było nawet więcej. Tylko trzy stacje na świecie mogły się poszczycić szerszą publicznością. Nic nie mogło lepiej dowieść, że wątki fabularne wybrałem trafnie. Zator wreszcie usunięto i lawina samochodów zaczęła wolno toczyć się dalej. Po chwili minąłem miejsce wypadku; na poboczu trasy piętrzyła się sterta wypalonych samochodowych wraków. Na jednym z nich — wielkiej ciężarówce do przewozu aparatury elektronicznej — kątem oka spostrzegłem znaki firmowe aliensensorycznej stacji „Red Star”.

Konkurencja będzie miała straty — pomyślałem, ale poza tym nie przyszło mi wówczas do głowy nic złego. Skrzyłem w ulicę prowadzącą do ośrodka. Dojechałem na miejsce. Ustawiłem wóz na parkingu i miałem właśnie skierować się

do wejścia, gdy beton pod moimi stopami zadrżał, a powietrze oparzyło mi twarz gorącym podmuchem. Patrzyłem oniemiały; ośrodek rozpadał się jak układanka z klocków. Wśród straszliwego huku leciały ku ziemi całe kondygnacje, osuwały się ściany, a wysokie stalowe wieże antenowe przewracały się jak podcięte drzewa. Nad rumowiskiem kłębiły się szare chmury dymu czy też kurzu, fontannami iskier tryskały rozerwane przewody, fruwały jakieś kartki i kolorowe szmaty. Pomyślałem o ludziach, których wybuch zaskoczył wewnątrz ośrodka; wydawało mi się zupełną niemożliwością, by ktokolwiek z nich mógł przeżyć.

Wreszcie wróciła cisza. Przez mgnienie niepodzielnie panowała nad całym obszarem katastrofy, ale zaraz potem rozdarły ją dziesiątki głosów; krzyki, nawoływania, wezwania o pomoc... Na pół świadomie, ogarnięty dziwną dławiającą krtań fascynacją, zacząłem iść ku temu, co jeszcze przed minutą było nowoczesnym budynkiem. Pod moimi stopami chrzęściło szkło, wirujący w powietrzu pył drażnił oczy. Nagle ktoś mocno chwycił mnie za ramię. Obejrzałem się; to był szef. Ubranie zwisało na nim w strzępach, zadrapania i sińce zniekształciły mu twarz, a krew sącząca się z rozległej rany na szyi nie zaczęła jeszcze krzepnąć, ale na pierwszy rzut oka spostrzegłem,

Se — mimo wszystko — nie stracił głowy.

— Nic ci się nie stało? — spytał.

— Nic.

— A samochód?

— TeŜ w porządku.

— Świetnie! — wyraźnie się ucieszył. — Pojedziesz zaraz na stanowisko zapasowe! Musimy wejść z emisją Kinga w normalnym czasie!

— Dobrac — odparłem i juŜ miałem skoczyć z powrotem ku parkingowi, gdy powstrzymała mnie nieprzeparta chęć postawienia pytania zasadniczego, chociaŜ w tej chwili brzmiącego cokolwiek naiwnie. — Co to było? SzeF wzruszył ramionami.

— Wiem tyle samo, co i ty — powiedział. — Jedź juŜ! Pospiesz się!

Na zapasowym stanowisku kontrolnym powiodło mi się nadspodziewanie dobrze. Z pomocą dyŜurujących techników błyskawicznie uruchomiłem i nastroiłem aparaturę, nadałem sygnały włączając wzmacniacze w strefie wewnętrznej i satelitarne transmisyjne, odebrałem potwierdzenia ich gotowości, a na trzydzieści sekund przed rozpoczęciem emisji uzyskałem pełną kontrolę nad przekazem płynącym z mózgu Kinga. Cały program minął bez najmniejszych zakłóceń.

Kiedy po kilku godzinach zdjąłem wreszcie słuchawki i wyszedłem z kabiny na korytarz, od razu spostrzegłem trzech mężczyzn stojących obok przeszklonych drzwi głównego wejścia. I od razu domyśliłem się, że czekają na mnie. Dwaj młodsi — wysocy, barczyści i elegancko, chociaż prawie identycznie ubrani — palili papierosy i uważnie wpatrywali się w zalany światłem reflektorów plac przed budynkiem. Starszy przeglądał plik różnobarwnych, spiętych ze sobą arkusików. Na odgłos moich kroków podniósł znad nich oczy.

— Pan Ray Dayis? Przytaknąłem.

— Pułkownik Alex Nater ze Służby Spokoju — wyciągnął ku mnie rękę. — A to — wskazał dwóch pozostałych — moi ludzie. Przejdźmy od razu do sedna sprawy — ciągnął. — Jesteśmy tutaj, żeby zapewnić panu bezpieczeństwo.

Napotkał moje zdziwione spojrzenie i potwierdzająco skinął głową.

— Dzieje się coś złego — powiedział. — Nie tylko wasza stacja wyleciała dzisiaj w powietrze. To samo spotkało dwanaście innych...

Potrząsnął plikiem arkusików, które przeglądał, zanim zaczął rozmawiać ze mną.

— Meldunki nadchodzą ze wszystkich kontynentów, przerwano bariery ochronne wokół siedmiu poligonów, w

różny sposób "uszkodzono mnóstwo sprzętu... W tym momencie stanął przed moimi oczyma obraz spalonej ciężarówki ze stacji „Red Star”.

— ...strącono satelitę transmisyjnego, w kilku emisjach wywołano zakłócenia...

— Nikt nie zginął?

— Nie... — odparł wolno patrząc na mnie uważnie i jakby nad czymś się zastanawiając. — Są tylko ranni. Wszystko zdarzyło się przed rozpoczęciem emisji. Stacje były jeszcze prawie puste. Zresztą w kilku wypadkach ktoś telefonicznie uprzedzał o zamachu... Sądzę, że tym razem sprawcy nie chcieli ofiar. Pytanie tylko, jak daleko posuną się w przyszłości ?

— Macie jakichś podejrzanych?

— W gorącej wodzie pan kąpany! — roześmiał się Nater. — Na razie nie; śledztwo dopiero się rozpoczyna. W każdym razie uznaliśmy, że dobrze będzie, jeśli najwybitniejszym fachowcom aliusensorii przydzielimy stałą opiekę. Teraz ja się roześmiałem.

— Mam się uważać za jednego z tych najwybitniejszych?

— Niechże pan nie udaje skromnego — przez twarz Natera przemknął ironiczny grymas. — Przecież nigdy nie oceniał pan siebie inaczej, prawda?

Pojechałem do domu ciężką limuzyną o kuloodpornych

szybach. Przez całą drogę towarzyszący mi młodzi ludzie nie odezwali się ani słowem; ich czujne oczy nieprzerwanie ślizgały się po chodnikach i jezdniach mijanych ulic, a ręce ścisnęły kolby pistoletów. Kiedy dotarliśmy na miejsce, wysiedli pierwsi i dłuższą chwilę rozglądali się dookoła.

Dopiero potem skinęli na mnie. Szybko przebiegłem przestrzeń dzielącą mnie od drzwi willi i natychmiast je otworzyłem. Pomyślałem, że pierwszy raz w życiu sam robię coś w stylu bohaterów, których przygody od tak dawna wymyślałem. A zamykając drzwi za sobą zdałem sobie sprawę, że moi opiekunowie wrócili do samochodu, ale nie zapalają silnika. Nie zamierzali odejść. Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem po wejściu do mego pokoju, była szara koperta leżąca na biurku. Czarnymi, grubo drukowanymi literami ktoś wypisał na niej moje imię i nazwisko, ale poza nimi nie widniał na papierowej powierzchni żaden szczegół: ani adres, ani znaczek, ani pieczęć... Ta przesyłka nie mogła dotrzeć pocztą. Więc jak?

Poszedłem do pokoju Anny. Jak zwykle panował tam półmrok. I jak zwykle głowa mojej Sony tkwiła w mlecznobiałej kuli hełmu kontaktowego. Nacisnąłem klawisz blokujący emisję. Anna poruszyła się niespokojnie, powoli otworzyła oczy, przez chwilę nieprzytomnie gapiła się w sufit i dopiero później spojrzała na mnie. — Czego chcesz?!

— spytała z rozdrażnieniem. Jak człowiek gwałtownie

wyrwany z głębokiego snu.

— Skąd się wzięła ta koperta w moim pokoju?

— Jaka koperta?

— Duża szara koperta na moim biurku.

— I tylko dlatego psujesz mi program?! — była naprawdę wściekła. — Jakiś człowiek przyniósł...

— Jaki człowiek? Kto to był?

— Nie wiem! — krzyknęła. — Skąd mam **wiedzieć**?

— Mówił coś?

— Nie... Tylko że to dla ciebie... Potem zaraz poszedł.

Chcesz coś jeszcze? Przechylnie pokręciłem głowę, a Anna ułożyła się wygodniej i natychmiast na nowo włączyła hełm. Nadal nie wiedziałem nic pewnego. Ale równocześnie coraz natarczywsze stawało się podejrzenie, które przyszło mi do głowy, gdy tylko ujrzałem przesyłkę; musiała mieć związek z wybuchem w stacji. Albo nawet sama była miniaturową bombą... Krążyłem naokoło biurka walcząc z wątpliwościami:

zawołać tych z dołu?, wezwać pułkownika Natera?, a może jednak samemu zajrzeć do środka? Ciekawość przeważała nad ostrożnością, delikatnie podniosłem i obróciłem kopertę. Okazało się, że nie jest zaklejona. Odgiąłem trójkątne skrzydełko i wytrząsałem kilka spiętych ze sobą kartek. Za nimi wysunęła się jeszcze jedna — oddzielna. I

tę przeczytałem najpierw.

„Comandante A do pracowników aliusensorii — ujawniał nadawcę i wskazywał odbiorców tytułowy rząd tekstu. —

Dziś uderzyłem po raz pierwszy. W chwili gdy czytacie te słowa, znacie już rozmiary waszych strat. Ostrzegam, że to dopiero początek. Niebawem zaatakuję was znowu. I

później jeszcze raz. I jeszcze. Nie kryję — nienawidzę was.

Nie chcę jednak, byście mnie brali za ślepą siłę, za barbarzyńcę niszczącego w imię samego niszczenia.

Rzucając bomby do waszych stacji, rzucam je tak, że do

świadomości macie. Co to znaczy? Zrozumiecie, gdy

przeczytacie moje rozważania. Myśli Comandante A. A —

jak antyaliusensoria. A — jak autentyzm. Wierzę, i że

poznawszy mój program, niejeden z was pójdzie za mną. A

ci, którzy zwrócą się przeciwko mnie, będą przynajmniej

dokładnie wiedzieli, z kim walczą”.

Odsyłałem list i sięgnąłem po przysłane razem z nim kartki.

Przerzuciłem je szybko i spostrzegłem, że zawarte na nich

posłanie dzieli się na trzy części. Z początku próbowałem

przeniknąć sens całości czytając na wrywki, ale rychło

pojąłem, że to na nic się nie zda. Ten tekst wymagał

systematycznej lektury.

VI MYŚLI COMANDANTE A

O ERZE SAMOTNOŚCI

Samotność rosła od stuleci. Od tysiącleci. Jej nasienie padło między nas już wtedy, gdy poczęły się rwać więzi plemienne. Gdy utraciliśmy wiarę we wspólnych legendarnych przodków. Później rozsypały się rody. Bo mieliśmy już narzędzia. I mieliśmy broń. I nie trzeba było setek pomocnych rąk na to, by przetrwać; wystarczyły dziesiątki. Nasze wspólnoty wciąż karłały, a samotność coraz głębiej zapuszczała korzenie.

Wreszcie tylko ziemia kazała nam trzymać się razem. Póki żyliśmy na wsi, póty szukaliśmy oparcia w rodzinie. Dwa, trzy albo i cztery pokolenia mieszkali pospołu, by razem orać i razem zbierać plony.

Technika rozbiła te ostatnie sztańce. Stworzyła przemysł, a na nim utoczyły się miasta. Rosły, wchłaniały ludzi milionami, przerzucały ich między sobą jak gnane wiatrem ziarenka piasku. W drobny mak rozsypywały się w tym wichrze rodziny, przyjaźnie, koleżeńskie kręgi. I samotność rozpleniła się w zastraszającym tempie!

Dzisiaj samotność jest wszędzie. Pod jej wpływem zmieniają się mody, z niej wynikają programy polityczne, ona przekształca i zaciera sens najstarszych słów.

Szczęście, dom, rodzina — oznaczają dla nas coś zupełnie innego, niż oznaczały dla naszych przodków. Jeszcze

przed dwoma czy trzema stuleciami rodzina była potężnym drzewem o wielu rozgałęzieniach: pradiadkowie, dziadkowie, rodzice, dzieci, ciotki, wujowie, kuzyni i kuzynki — żyli blisko siebie, na klanowych radach podejmowali najważniejsze decyzje, jako wspólnota stanowili osłonę, ale i najwyższy sąd dla poszczególnych jej członków.

Z czasem sens słowa „rodzina” zmniejszył zakres; mieścił odtąd dziadków, rodziców i dzieci. Potem już tylko rodziców i dzieci. A wreszcie słowo to zaczęło się kojarzyć zaledwie z trójką ludzi — mężczyzną, kobietą i jednym dzieckiem.

Dzisiaj słowa „rodzina” nie słyszemy prawie wcale. Istnieją jeszcze małżeństwa — związki dwojga ludzi nie

posiadających potomstwa. Jak długo jednak przetrwają?

Można mieć tylko nadzieję że ich kres nie nadejdzie natychmiast, że odwlecze się nieco. Bo że nadejdzie — to pewne.

Minęły te czasy olbrzymów; ludzi wyraźnych, świadomych siebie samych i mocno tkwiących w świadomości bliźnich.

Takich, którzy na wszystkim, czego dotknęli, odciskali swe piętno, którzy słynęli gestami i powiedzeniami, którzy

tworzyli własny styl. Ich nie sposób było z kimś pomylić! A

my? Wszyscy coraz bardziej jesteśmy rozmazani i

jednocześnie coraz bardziej do siebie podobni. Samotni w

dławiącym dech tłoku, jak gubiące wciąż kształt

galaretowate twory, kołysujemy się bezwolnie w rytm

zmiennych prądów. Meduzy, meduzy, z nikim i z niczym
trwale nie związane, wegetujące w ławicach meduzy — oto
kim będziemy już jutro.

O ERZE NIERZECZYWISTOŚCI

| •

W czasach gdy więzi łączące ludzi sięgały głęboko i trwały
dozgonnie, odmienne od współczesnego było również
budowanie obrazu świata, który kryje się w każdym umyśle.
Ręce, oczy, uszy — tylko własne zmysły słyszały nam w
poznaniu odwiecznych prawd przyrody. I tylko z osobistych
doświadczeń wyrastała dojrzałość człowieka, jego
wrażliwość i mądrość. Sięgaliśmy rzeczywistości bez
pośredników, zanurzeni byliśmy w jej sywiole,
wchłanialiśmy ją, a ona przyjmowała nas. To dlatego tak
ceniono wówczas starców — byli najdłużej, więc
najbogatszą mieli wiedzę. Czas istnienia wyznaczał prestiż,
prawo do udzielania rad i do dzierżenia władzy. Upadek
starców to pierwszy symptom upadku dawnego odczuwania
i pojmowania
rzeczywistości.

Zawsze istnieli tacy, którym wydawało się, że potrafią
dostrzec i zrozumieć więcej niż inni. I że ich obowiązkiem
jest przekazywanie tych odkryć, upowszechnianie.
narzucanie nawet. Nadszedł moment, gdy zarozumiałcy ci

poczęli zdobywać przemoŝny wpływ na bliŝnich i dostępować najwyŝszych zaszczytów. Zdarzyło się to wtedy, gdy wynaleziono druk. I gdy pojawia się masowa ksiąŝka.

Książka... Przez ileŝ to stuleci uważaliśmy ją za niepodważalną wartość? Ileŝ razy mówiliśmy o rozkwitających dzięki niej szlachetnych uczuciach? Iluŝ pokoleniom kazaliśmy trawić czas na wertowaniu gęsto pokrytych literami kartek? I dlaczego zupełnie nie dostrzegaliśmy wielkiego zła, które się od książki zaczęło? To właśnie książka stworzyła podstawy muru, który z czasem oddzielił nas od rzeczywistości. To właśnie w czasach książki nie trzeba już było wędrować do dalekich krajów, by poznać ŝyjących tam ludzi, obejrzeć tamtejsze zwierzęta, spróbować tamtejszych owoców. Wystarczyło czytać. Wyruszał w świat jeden człowiek. spisywał na papierze widziane obrazy i obrazy te przyswajały tysiące mózgów. Słowa, przeczytane słowa tworzyły odtąd w coraz większej części nasze duchowe bogactwo. Osobiste doznania traciły na znaczeniu. Potem runęły na nas ŝrodki masowego przekazu. Radio. film, telewizja: one — ta ostatnia zwłaszcza — zupełnie nie potrzebowały już naszego świadomego współdziałania. Wcisnęły się między nas a rzeczywistość, stały się pośrednikami w większości

naszych z nią kontaktów, zdegradowały naszą własną
ciekawość i ruchliwość. Nie ruszaj się z fotela, a my
wszystko zrobimy za ciebie! Zaniesiemy twoje oczy tam,
gdzie bez naszej pomocy nigdy nie sięgnąłby twój wzrok!

Napełnimy twoje uszy dźwiękami,
których nigdy nie złowiłby twój słuch! Jesteśmy
przedłużaczami twoich zmysłów i dzięki nam, pozostając w
miejscu, dotrzesz do dalekich lądów, na dno mórz, na
Księżyc nawet!

Stopniowo nasze bezpośrednie doznawanie rzeczywistości
zawężało się do kręgu spraw najprostszych. Coraz częściej
przechodziliśmy obok zjawisk i nie dostrzegaliśmy ich, jeśli
wcześniej nie ukazały się na ekranie ze szkła. Siedem

godzin telewizji na tydzień! Trzydzieści pięć godzin telewizji na tydzień! Siedemdziesiąt godzin!
Schyłek dwudziestego

wieku, lata najszerszego zasięgu telewizji, to okres, w
którym zuniformizowany, przetworzony przez kamery i
mikrofony obraz rzeczywistości prawie bez reszty wypełnił
świadomość zdecydowanej większości mieszkańców ziemi.

Ale przecież to wciąż jeszcze był obraz rzeczywistości!

Kontakt z nią, mimo ograniczeń i całej swej
powierzchnowości, utrzymywał się. I dopiero właśnie
aliusensoria przyniosła jego ostateczne zerwanie. Zaczęło
się — jak zwykle — od narzekań na szarość przeciętnej,
ludzkiej egzystencji, od wezwań do ubarwienia czasu

wolnego, od rozważań nad wynalazkiem, który mógłby odegrać w tej sytuacji jakąś rolę. Gdy powiodły się pierwsze emisje aliusensoryczne, na całym świecie wybuchł entuzjizm. Doznania zmysłowe jednego człowieka można przekazać do mózgu drugiego! Do mózgów setek, tysięcy i milionów! Z całkowitym pominięciem zmysłów odbiorców! Jakże proste i jakże skuteczne wydawało się to rozwiązanie; wystarczy zapewnić barwne, wspaniałe życie jednemu tylko człowiekowi, a wszyscy, którzy odbiorą sygnały emitowane przez jego zmysły, przeżyją to samo. Starcy będą mogli poczuć się młodzi! Ofermy zazną siły i zręczności akrobatów! Przynajmniej przez kilka godzin dziennie wszyscy będą królami życia! ;

Imponujące było tempo pochodu aliusensorii; w ciągu roku ; od dokonania wynalazku — stacje eksperymentalne we wszystkich krajach, w ciągu trzech lat — powszechność : regularnych emisji, w ciągu pięciu — system przekazu ogólnoswiatowego, w ciągu ośmiu — możliwość wybrania programu spośród stu kilkudziesięciu różnych propozycji!

Szczęście i barwność życia nie dla każdego oznaczają to samo, toteż stacje aliusensoryczne mnożyły się nieprzerwanie i prześcigały w pomysłach, by trafić w gusty publiczności. Jedne kazały swoim supermanom i supermankom nieustannie podróżować, inne wplątywały ich

w kryminalno-przygodowe intrygi albo w pasmo miłosnych podbojów, jeszcze inne domagały się od nich wciąż nowych rekordów sportowych. Ale sens działalności wszystkich był jednakowy — wymyślić sztuczne, sterowane przeżycia i wpleść je w biografię jak największej liczby ludzi.

Aliusensoria wylansowała dwa slogany: „Każdy może być każdym!” i „Każdy może przeżyć wszystko!” Jak łatwo w nie uwierzyliśmy! Już czwarte pokolenie wyrasta w cieniu

hełmów kontaktowych. Średnia dawka aliusensoryzowania się wynosi już z górą osiem godzin dziennie i nieustannie rośnie. Znane są przypadki aliusensoryzowania się całodobowego. Coraz mniej jest ludzi, którzy chcieliby sami uatrakcyjnić swoje życie.

Tak, jesteśmy szczęśliwi! Przeciętnemu człowiekowi współczesnemu dostępna jest taka skala doznań, o jakiej jego przodkowie nie mogli nawet marzyć. Ale to wielka jest cena, którą płacimy za nasz hedonizm. Bo nie umiemy już nawiązać ze sobą autentycznych kontaktów, nie umiemy się przyjaźnić i kochać, nie umiemy nawet rozmawiać! Gdy odezwie się w nas jakakolwiek odwieczna ludzka potrzeba, znajdujemy zawsze to samo najprostsze rozwiązanie — wybrawszy odpowiednią cyfrę na programatorze wkładamy hełm kontaktowy. Szukamy spełnienia majaków aliusensoryczne) nierzeczywistości, zaś w świecie realnym już tylko wegetujemy. Leczymy nasze osamotnienie

iluzjami, ale w krótkich chwilach prawdziwej

samoświadomości coraz boleśniej czujemy jego głębię.

O ERZE POWROTÓW

Nadszedł najwyśszy czas, by obudzić ludzkość z cięskiego snu. Jeśli mamy przetrwać, musimy powrócić do rzeczywistości, do prawdziwych wspólnot, do autentyzmu przeżyć.

Ruch Comandante A dojrzewał przez całe lata. Dzisiaj jest dostatecznie silny, by uderzać. Jego ludzie, połączeni ze sobą więzami prawdziwej przyjaźni i prawdziwego braterstwa, gotowi są na wszystko. Nie boją się ryzyka, ran, śmierci nawet.

Położymy kres aliusensorii! Jesteśmy zdecydowani wysadzić w powietrze wszystkie stacje, rozbić wszystkie mury oddzielające strefę zewnętrzną od poligonów strefy wewnętrznej, zniszczyć tych, którzy stawiają nam opór. Na gruzach dzisiejszego społeczeństwa konsumpcyjnej bierności zbudujemy nowe, w którym każdy będzie twórcą, każdy odkrywcą, każdy indywidualnością. W którym własne przeżycia, doświadczenia i przemyślenia każdej bez wyjątku

jednostki ludzkiej staną się wartością najwyższą. Wiemy, że walka nie będzie łatwa. Ale wierzymy w zwycięstwo. Bo nadszedł czas, by powrócić do dziecięcego wieku

ludzkości. Do bezpośrednich kontaktów każdego ze
wszystkimi, z naturą, z przestrzenią, z całym bogactwem
istnienia. W ruchu Comandante A jest miejsce dla
wszystkich!

Rozerwijcie kajdany krępujące wasze zmysły! Odepchnijcie
truciznę sączoną w wasze mózgi! Na nowo bądźcie po
prostu sobą! Powróćcie do siebie samych!

VII

Alan King kończył się ubierać. Wciągnął już dżinsy i wysokie buty, których podkute podeszwy dodawały mu co najmniej pięć centymetrów wzrostu. Włożył czarny sweter ze zgrzebnej wełny. Na łoku leżała jeszcze tylko brezentowa, wojskowa kurta, a na stojącą lampę jak abażur nasadzony był kowbojski kapelusz z szerokim rondem.

Wszystkie szczegóły tego stroju spełniały ściśle wskazówki scenariusza; miały podkreślać szorstką, surową męskość Kinga, jego styl „silnego człowieka”. Właśnie tego wymagała rozpoczynająca się za kilkanaście minut akcja.

Zabrzączał dzwonek w przedpokoju. King spojrzał na zegarek i zaklął cicho; nie znosił, gdy zakłócano mu te ostatnie, poprzedzające program chwile spokoju. Odczekał, aż brzęczenie rozlegnie się po raz drugi, i dopiero wtedy poszedł otworzyć.

— Ach, to ty! — powiedział, gdy niespodziewanym gościem okazał się Barry Bird, superman ze stacji „Golden Fog”, a zarazem sąsiad (zajmował identyczne mieszkanie po drugiej stronie korytarza) w ośrodku rekreacyjnym. —

Wejdziesz! Ale muszę cię uprzedzić, że zaraz mam emisję.

— Wiem — odparł Bird. — Ja tylko na moment... Obrzucił Kinga taksującym spojrzeniem.

— Bardzo bojowo dziś wyglądasz...

— Taki mam scenariusz — wzruszył ramionami King. —

Sam zobacz.

Podał Birdowi maszynopis, a ten szybko przebiegł wzrokiem kilka pierwszych kartek.

— No, nieźle — mruknął po chwili. - Pierwszy raz masz duet z Susan Young? King skinął głową.

— Dobrze trafiłeś. To bardzo fajna dziewczyna... Zapadła cisza. Bird najwyraźniej chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie miał odwagi albo szukał słów. Na jego twarzy malowało się niezdecydowanie.

— Wal! — zachęcił go King. — Z czym przychodzisz?

— To głupia sprawa... — zaczął. — Mam wrażenie...

Zresztą nie tylko ja je odniosłem... Słowem — dzieje się coś dziwnego!

— Coś dziwnego?

— Tak. Sam musiałeś zauważyć. To już trwa od trzech albo czterech tygodni; odwoływanie programów, nagłe zmiany w scenariuszach, chaotyczne przerzucanie ludzi z poligonu na poligon... Wczoraj po emisji wracałem drogą wzdłuż granicy

— wartowników jest teraz trzy razy tyle, co zwykle. A dzisiaj dowiedziałem się, że mają nam cofnąć wszystkie przepustki!

— Cofnąć przepustki?!

— Właśnie to ostatecznie mnie upewniło. Udają, że nic się

nie stało, o niczym nas nie informują, ale równocześnie za wszelką cenę chcą nas zatrzymać tutaj. I to mi się najmniej podoba. Tam u nich, w strefie zewnętrznej, musi się dziać coś.

— MoŜe masz rację... — powiedział z wahaniem King. —

Moje programy idą bez zmian, ale teŜ wyczuwam jakiś niepokój...

— Oto najwłaściwsze słowo! — ucieszył się Bird. —

Niepokój!

Z satysfakcją pokiwał głową, jak gdyby utwierdzając się, Ŝe jest to trafne określenie sytuacji.

— Rozmawiałem juŜ z chłopakami z kilku stacji — ciągnął po chwili. — Wszyscy uwaŜają, Ŝe musimy się dowiedzieć, o co chodzi. PomoŜesz nam?

— Pewnie — zgodził się King. — TeŜ jestem ciekaw, co to takiego. Ale teraz muszę juŜ bieć! Pogadamy jeszcze!

PoŜegnał się z Birdem i zjechał windą do podziemnego garaŜu. Wsiadł na przygotowany przez mechaników motocykl. W minutę później zatrzymał się przed punktem rozpoczęcia emisji. Na świetlnym zegarze oznaczonym jego inicjałami wolno topniała bariera sekund: 75... 60... 45... 40... 15...7... 3...0!

King szarpnął manetkę gazu i ruszył naprzód. Od tej chwili, cudem elektronicznego awataru, tłoczyły się w jego ciele

miliony dusz.

Droga nie była daleka. Po kilku kilometrach King zobaczył rozłożysty, wysoki na dwa piętra namiot, a poprzez ryk motoru i szum wiatru usłyszał rytmiczną, niepokojącą muzykę.

Pomyślał: jestem na miejscu.

Wejście do namiotu przesłaniała kotara z drewnianych koralików nanizanych na długie, od szczytów masztów aż do ziemi sięgające nitki. Gdy King je odgarnął, zachrzęściły jak wolno obrócona grzechotka.

Po drugiej stronie szalał tłum. W potokach zmieniającego nieustannie barwę, jaskrawego światła, wśród dudnienia potężnych głośników, naśladując ruchy piosenkarza wirującego na wielkim lśniącem talerzu estrady, mężczyźni i kobiety miotali się w gorączkowym, pozbawionym reguł tańcu. Wszyscy byli do siebie bardzo podobni: długowłosi, szczupli i niezbyt wysocy. Podobne też były wszystkie stroje; u mężczyzn i kobiet jednakowo lekkie, uszyte z powiewnych tiulów i jedwabi, przybrane ptasimi piórami i kwiatami, dopełnione naszyjnikami, bransoletkami i kolekcjami pierścionków na wszystkich palcach. W tym otoczeniu King wyglądał jak olbrzym, który przez omyłkę trafił na bal trolli.

Pomyślał: ale cwaniak z tego Davisa! To po to tak

starannie opracował mój dzisiejszy kostium. KaŜdy musi mnie od razu zauwaŹyć.

I rzeczywiŹcie spostrzegli go; nieruchomieli na moment, rozstępowali się na boki robiąc mu przejŹcie, odprowadzali go zdziwionymi spojrzeniami. A on szedł przed siebie urzeczywistniając to, co zawierał scenariusz: „King toruje sobie drogę przez roztańczony tłum. Szuka w nim

dziewczyny, z którą chciałby spędzić wieczór". Zobaczył ją wreszcie. Tańczyła samotnie i zdawała się zupełnie nie

zwracać uwagi na płaŹający wokół niej krąg adoratorów.

Bez wátpienia Źadna z kobiet w namiocie nie dorównywała jej urodą. I Źadna nie miała na sobie aŹ tak mieniącego się stroju.

— Podobasz mi się — powiedział King stając przed nią. Nie przestając tańczyć podniosła na niego wzrok. Przez dłuŹszą chwilę przyglądała mu się otwarcie i wyzywająco.

— Ty teŹ mi się podobasz — odparła w końcu. Przyjął to wyznanie bez zdziwienia, uŹmiechnął się tylko zwycięsko.

Wziął dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą. Kilka kroków

dzieliło ich od grzechoczącej zasłony, gdy nagle zamknęła

przejŹcie grupa tancerzy. King zdąŹył naliczyć siedmiu, ale

był pewien, Źe za ich plecami kryją się dalsi. Pomyślał:

zawsze to samo...

Gdy wszyscy naraz rzucili się na niego, nie zacisnął nawet

pięści. Boks wydał mu się bronią zbyt cięŹką w walce z

takimi przeciwnikami. Odsuwał ich tylko od siebie, odpychał, odrzucał. Powiewając luźnymi szatami, gubiąc korale i kwiaty odskakiwali w tył. Padając wtapiali się w tło.

Miękka zręczność ich ruchów i lejące się nieustannie z reflektorów strugi barwnego światła nadawały całej tej scenie teatralną umowność, upodabniały ją do pantomimicznego spektaklu. A wzmocniona niewidzialną ręką muzyka zagłuszała każdy okrzyk i każdy odgłos uderzenia.

Wreszcie atakujący ustąpili. King i dziewczyna wydostali się przed namiot. Tutaj też nikt ich nie gonił.

— Pojedziemy do mnie? — spytała.

Skinął głową i wskazał swój motocykl, ale zaprotestowała gwałtownie.

— Pojedziemy moim wozem — powiedziała. — Zobaczysz, jak prowadzę.

Wsiedli do kabrioletu stanowiącego doskonale zachowany oryginał albo udaną replikę jednej z tych wspaniałych maszyn, które kiedyś ścigały się na pierwszych torach i przemierzały trasy gwiazdzistych zlotów; tak wyglądały - Clenety, Sceptrey, Auburny... Pod fantastycznie długą maską krył się potężny, wielocylindrowy silnik, na opływowych, przypominających muszle winniczka błotnikach piętrzyły się reflektory, a klakson miał kształt

złotej, zakończonej gumową gruszką trąbki.

— Ile to wyciąga? — spytał King.

— Zobaczysz — odparła uśmiechając się tajemniczo.

Zapaliła silnik, ale jeszcze nie zamierzała ruszać. Z wyrazem skupienia na twarzy szukała czegoś w torebce. Po chwili wyciągnęła z niej niewielkie, srebrne pudełko i nacisnąwszy niewidoczną sprężynę wysypała na dłoń cztery białe, małe pastylki. Jedną natychmiast połknęła sama, a trzy podsunęła Kingowi.

— Co to jest? — spytał.

— Zobaczysz — odpowiedziała tak samo jak przedtem.

Pastylki rozpuściły się, gdy tylko położył je na języku. Nie miały żadnego smaku. Ale ich działanie poczuł już po kilku sekundach. Najpierw zmieniły się barwy; wszystkie nabrały nieopisanego intensywności, zaśniły zimnym, metalicznym blaskiem, wprawiły w ruch martwe dotąd powierzchnie. Jak zmarszczona wiatrem tafla wody zakłósała się ściana namiotu, zielone płomyki zapęgały po koronach drzew, a niebo zaczęło razić oczy ostrymi szpileczkami gwiazd. Zaraz potem zbuntowały się kształty; długi przód samochodu wyciągnął się jeszcze bardziej, wyostrzył w dziób rakiety, kierownica wiła się jak wąż gryzący własny ogon, fotele stały się głębsze. Normalne wymiary straciło nawet ciało Kinga; jego wielkie jak poduchy

dłonie bezradnie błędziły w powietrzu nie mogąc sięgnąć
zbyt odległego czoła. Wreszcie rozrosła się skala
dźwięków; obok muzyki dobiegającej z namiotu mieściła
teraz hałasy dalekich miast, szumy i trzaski eteru,
przyczajoną zwykle za rogiem słyszalności mowę
przyrody...

King chciał powiedzieć o tym wszystkim dziewczynie, ale
wargi i język wymknęły się jego woli; suche i sztywne nie
umiały złożyć słów. Spróbował znowu, ale i teraz skończyło
się na bełkotliwym szepcie.

— Nie przejmuj się — powiedziała uspokajająco kładąc mu
dłoń na ramieniu. — To normalne. Zaraz pojedziemy.

Zobaczysz — dopiero teraz będziesz miał frajdę! Już w
czasie pierwszych sekund po ruszeniu z miejsca osiągnęli
bardzo dużą szybkość. Kątem oka King widział, jak strzałka
na największej tarczy sięgnęła liczby sto, potem sto
dwadzieścia, a wreszcie sto sześćdziesiąt. I rzeczywiście —
wraz z rosnącym pędem, w wietrze rozwiewającym włosy,
wśród ryku motoru i pisku opon jego wrażenia spotęgowały
się. Gdy zjeżdżali ze szczytów wzgórz, zapadł w czarną
głębłą bezdennych przepaści. Gdy brali wiraż, tracił
zupełnie poczucie ciała, zawisał na długie ułamki sekund w
cudownej nieważkości. Gdy przyspieszali jeszcze bardziej,
czuł, jak pod ogromnym ciężarem zwalnia pracę jego serce.

Mijane widoki mieszały mu się i nakładały na siebie; światłem reflektorów wyrwane z ciemności przydrożne drzewa zakwitały ulicznymi lampami opuszczonego już chwilę wcześniej miasteczka, tabuny koni galopowały po dachach wiejskich chałup, tajemnicze postacie kryły się szybko w ciemnych wylotach tuneli, białe, żaglowe okręty wprost z morza płynęły na szczyty gór, a kolorowe mgły podnosiły się i opadały jak kurtyny. King nie umiał powiedzieć, jak długo trwała ta szaleńcza jazda. Ale gdy dotarli na miejsce, rzeczywistość poczyniała już odzyskiwać swój zwykły kształt. Odczuwał wobec niej tylko dystans, jaki towarzyszy czasem niepełnemu przebudzeniu; wędrował po wąskiej kładce, na którą uciekał z jednego snu, ale z której zaraz mógł runąć w następny.

— I co? — spytała dziewczyna. — Podobało ci się?

— Bardzo — odparł. — Tylko dlaczego dałaś mi potrójną dawkę, a siebie potraktowałaś ulgowo? To nie fair!

Wybuchnęła śmiechem, jak gdyby udało jej się splatać znakomitego figla.

— Przeciwnie! To bardzo fair! Chciałam, żebyś się naprawdę dobrze bawił. A sama musiałam spasować — po takiej porcji jak twoja nie mogłabym przecieś prowadzić.

Wnętrze jej domu tchnęło tą samą epoką, z której pochodził samochód. King szedł przez pokoje wypełnione meblami o

fantazyjnych, płynnych liniach, chińską porcelaną i japońskimi sztychami, dywanami w skomplikowane, roślinne wzory, mosiężnymi lampami o kielichowatych kloszach i wielkimi lustrami w rzeźbionych ramach.

Przeciwległą do wejścia stronę domu zamykał rozległy taras. Niżej łagodnymi zboczami opadały ogrody.

— Pięknie tutaj — powiedział King.

— Z tobą będzie jeszcze piękniej — odparła dziewczyna.

Tym razem jej słowa zabrzmiały jak wyuczona rola. Musiała zdać sobie z tego sprawę i pragnąc jak najszybciej zatrzeć błęd przeskokowała natychmiast w dalszy etap scenariusza; mocno przytuliła się do Kinga, a jej wargi zaczęły wędrować po jego policzku szukając ust. Odwzajemniając uścisk King pomyślał: to tak, jak gdyby całowała miliony mężczyzn... i jakbym ja trzymał w ramionach miliony kobiet...

Ujął w dłonie jej twarz i leciutko odsunął od siebie, by spojrzeć jej w oczy. Były przeraźliwie puste.

VIII

Przebudził mnie dzwonek telefonu. Nie otwierając nawet oczu, omackiem sięgnąłem po słuchawkę.

— Ray Davis — mruknąłem sennie. — O co chodzi?

— Tu pułkownik Nater ze Służby Spokoju — usłyszałem w odpowiedzi. — Muszę się z panem natychmiast zobaczyć.

W jednej chwili oprzytomniałem do końca. Odruchowo zerknąłem na zegarek; na fosforyzującej tarczy dochodziła druga. Pokój tonął w gęstym mroku nocy.

— Stało się coś? — spytałem.

— Nie, właściwie nie... Otrzymałem jedynie polecenie, by pana z kimś skontaktować.

— Z kim?

— Nie mam pojęcia — odparł, a ton jego głosu pozwalał wierzyć, że nie kłamie. — Jestem tylko pośrednikiem. Mam zawieźć pana na miejsce, w którym będą nas oczekiwać.

Przez chwilę obaj milczeliśmy.

— Dobrze! — powiedziałem wreszcie. — Zaraz będę gotów!

Nie więcej niż kwadrans później wyszedłem na ulicę. Nater już czekał. Otworzył drzwiczki czarnej limuzyny i wskazał mi miejsce obok siebie, na tylnym siedzeniu. Przód wozu zajmowali ci sami młodzi ludzie, którzy przed miesiącem, po wybuchu w stacji, odwozili mnie do domu. Pierwsza myśl,

która przyszła mi do głowy na ich widok, to ta, Œe wydają się o wiele spokojniejsi niŜ wtedy. Nater dał znak temu, który siedział za kierownicą, i samochód z piskiem opon oderwał się od chodnika.

— Dokąd jedziemy? — spytałem.

— Na stare lotnisko w Dzielnicy Zachodniej, stamtąd polecą pan samolotem.

Błyskawicznie przemknęliśmy przez opustoszałe ulice, przez wyrwę w zardzewiałej siatce ogrodzenia wjechaliśmy na betonowe płyty pasa startowego. U jego przeciwległego końca biała sylwetka niewielkiego, kilkumiejscowego najwyŜej odrzutowca. Zatrzymawszy wóz kierowca trzykrotnie błysnął reflektorami. Samolot odpowiedział w identyczny sposób światłami na skrzydłach.

— W porządku — powiedział Nater. — To oni. Teraz my zawrócimy, a pan pójdzie wolno w ich kierunku. Bez słowa otworzyłem drzwiczki, ale postawiwszy nogę na płycie lotniska zawahałem się.

— Proszę już iść — Nater ujął mnie za łokieć i lekko popchnął. — Proszę iść.

Wysiadłem. Samochód oddalił się szybko. Jeszcze przez chwilę słyszałem jego motor, ale później zapadła całkowita cisza. Stałem sam na rozległym, betonowym pustkowiu. W otaczających mnie ciemnościach jasna plama samolotu

stanowiła jedyny punkt orientacyjny. Musiałem ruszyć ku niemu; innej drogi nie miałem.

Gdy zbliżyłem się na odległość piętnastu czy może nawet tylko dziesięciu metrów, posłyszałem tuż za sobą czyjś oddech. Skurczyłem się instynktownie, przerażenie ścisnęło mi krtań. W tej samej chwili opadły na moje ramiona mocne dłonie.

— Proszę się nie bać — rozległ się męski głos. — I proszę się nie odwracać. Należy do załogi samolotu. Z pewnych przyczyn nie powinien pan poznać naszych twarzy ani ' widzieć trasy przelotu. Zasłonię teraz panu oczy. Szybko nałożył mi na głowę worek z gładkiej, nie przepuszczającej światła materii, a mnie przyszło natychmiast na myśl niedorzeczne skojarzenie z kapturem myśliwskiego sokoła.

— Dokąd mnie zabieracie? — spytałem.

— Niestety, nie jesteśmy upoważnieni do udzielania jakichkolwiek wyjaśnień — odparł niewidoczny nieznajomy pomagając mi wgramolić się do kabiny. Nie mogłem patrzeć na zegarek, ale wydawało mi się, że lot nie trwał dłużej niż dwie godziny. Po wylądowaniu jechałem jeszcze chwilę samochodem, potem wchodziłem po kilku stopniach, dość długo opadałem w windzie, a wreszcie znowu szedłem.

Prowadziło mnie teraz dwóch ludzi, po jednym z każdej

strony. Robili to tak zrećznie, Œe mimo zupełnego oślepienia

ani razu się nie potknałem. ZatrzymaliŒmy się.

— Teraz zostawimy pana samego — rozległ się znany mi

juŒ z lotniska głos. — Po naszym odejŒciu pójdzie pan do

końca korytarza. Gdy nadejdzie pora, wróci pan tutaj.

Będziemy czekali. Błyskawicznie zdarli mi z głowy moją „czapkę niewidkę”. odskoczyli w tył, trzasnęli drzwiami i z łoskotem zasunęli rygle.

Mrugałem powiekami chroniąc odwykłe od blasku oczy.

Minęło kilkanaŒcie sekund, nim zacząłem widzieć na tyle,

by rozejrzeć się dookoła. Stałem w wąskim i niskim

korytarzu;

jego Œciany odległe były najwyŒej o półtora metra, a

przeŒtreñ dzieląca podłogę i sufit zaledwie pozwalała mi

się wyprostować. Wszystkie powierzchnie tego wnętrza

rzucały łagodne, mlecznobiałe Œwiatło. I wszystkie były

półprzejrzyste.

WłaŒnie dzięki tej półprzejrzystości zorientowałem się. Œe

korytarz jest rękawem poziomo zawieszonym w rozległej

przeŒtreñi. Na zewnątrz niego kłębiły się tysiące barwnych

kabli, pulsowały mniej i bardziej odległe Œwiatelka, rozlegały się nieustannie monotonne, szemrzące odgłosy.

PomyŒlałem, Œe trafiłem do wnętrza jakiejŒ monstrualnej

maszyny. Zgodnie z otrzymanym poleceniem zacząłem iŒć

naprzód. Po kilkudziesięciu krokach wszedłem do

kończącego korytarz, półkulistego pomieszczenia. Na

samym środku okrągłej podłogi, pod najwyższym punktem rozpiętej nad nią kopuły, stał głęboki, wygodny fotel.

Obecność tego sprzętu w całkowicie pustym wnętrzu prowokowała, wręcz narzucała reakcję; musiałem usiąść.

Gdy tylko to zrobiłem, powoli jak w kinie zaczęło gasnąć światło. Wkrótce otoczył mnie doskonały, aksamitny mrok.

— Ray Davis — dobiegi z niego płaski, bezbarwny głos. —

Wezwano go w związku ze sprawą Comandante A.

Dokładnie tak to brzmiało. Nie: „wezwałem pana”. Ani nie:

„wezwaliliśmy pana”. Tylko właśnie: „Ray Davis, wezwano

go”. Mój ukryty interlokutor wypowiadał się w formie

bezosobowej. I do końca rozmowy ani razu nie zwrócił się

do mnie w sposób bezpośredni.

— Nie analizowało się motywów i celów Comandante A —

ciągnął dalej. — Uznano to za zbyt. Jego ruch jest

ewidentnym złem. Takie przyjęto założenie. Zło trzeba jak

najszybciej zniszczyć.

Nie unosił się, nie zdradzał gniewu. Był wciąż spokojny i

rzeczowy. Beznamiętny.

— Dostrzega się problemy nękające społeczeństwo. Ale do

ich rozwiązywania powołuje się fachowców. Wyposaża się

ich w komputery. Trzeba czekać na wyniki ich prac. Nie

kontrolowane zrywy są niedopuszczalne. Mogą

zaowocować jedynie chaosem. Mogą tylko powiększyć

kłopoty. Dlatego trzeba je tłumić. Ray Davis podziela ten pogląd.

Intonacja ostatniego zdania nie była pytająca; niczym nie różniła się od towarzyszącej zdaniom wcześniejszym, zdawała się znamionować bezsporne twierdzenie. A jednak pauza, która teraz nastąpiła, podsunęła mi myśl, że oczekuje się ode mnie odpowiedzi.

— Tak — mruknąłem niepewnie.

— To dobrze. Przedstawi mu się najważniejsze informacje.

Rozszyfrowano Comandante A. To Will Power. Lat 27. Były student filozofii i zapoznany poeta.. Przed pięcioma laty zorganizował ruch autentystów. Mieli się nigdy nie aliuseroryzować. Od tego zaczęli. Will Power napisał wówczas broszurę. O ewolucji środków masowego przekazu. Postawił błędne tezy. A teraz je powtórzył. Zawarł je w liście do pracowników aliuserorii.

Szukano go długo — kontynuował. — Organizacja była dobrze zakonspirowana. Wykorzystywali doświadczenia terrorystów z przeszłości. Ich pseudonimy mają historyczny rodowód. Ale już ich rozbito. W różnych punktach świata dokonano sześciuset trzydziestu dwóch aresztowań. To prawie wszyscy. Pozostałych złapie się później. Wytropiono miejsce pobytu samego Comandante A. Nie spuszcza się go z oka. On o tym nie wie. Nie trzeba go płoszyć.

Comandante A jest bardzo popularny — podjął kolejny wątek. — O wiele za bardzo. To jest problem. Są jednak czynniki sprzyjające jego rozwiązaniu. Ludzie nie odróżniają rzeczywistości od aliensensorycznych złudzeń. W gruncie rzeczy nie dostrzegli nawet zamachów. Czasem myślą, że naprawdę widzieli wybuchy. Czasem myślą, że mieli na głowie hełmy kontaktowe. Sądzeni ze świadków nie ma pewności. Większość skłania się ku przekonaniu, że to nowy program aliensensoryczny. Za to cenią Comandante A. A on chciał aliensensorykę zniszczyć. Nieporozumienie. To zresztą nieważne. Niezależnie od przyczyn liczy się jego popularność. Nie można go już po prostu usunąć. Najpierw trzeba całkowicie zredukować go do roli fantomu. Potem wzbudzić do niego powszechną niechęć. Zrobi to Ray' Davis.

— Ja?! — nie umiałem powstrzymać się od pytającego okrzyku.

— Analizowano wszystkich supermanów. Alan King nadaje się najlepiej. I supermanka Susan Young. Wystąpią razem.

— Raz występowali już razem — wtrąciłem. — Przed dwoma dniami.

— To właśnie przeanalizowano. Pasują do siebie. I do przewidzianego zadania. Trzeba dla nich obojga opracować program. Nada się go w sekcji żeńskiej i męskiej. Kanałami

wszystkich stacji. Na wszystkich pasmach. Przeŝyje to cała ludzkość.

— Co to ma być za program? — spytałem,

— Ray Davis napisze sam. Musi uwzględnić trzy załoŜenia.

Podaje się pierwsze załoŜenie: Alan King i Susan Young

napotkają ludzi Comandante A. To będą fantomy i

bezprzekazowi drugiego planu. Muszą być odraŝający.

Podstępni i brutalni. King i Young muszą doznać z ich

strony wiele złego. Nie wolno ich oszczędzać; muszą

naprawdę cierpieć. Odbiorcy programu przeŝyją to samo.

Znienawidzą ludzi Comandante A. I jego ideę. I Jego

samego. Cała ludzkość znienawidzi Comandante A. Podaje

się drugie załoŜenie: scenariusz naleŜy zrealizować w

strefie zewnętrznej. W autentycznej bazie Comandante A...

— Główne Biuro Kontroli nigdy się na to nie zgodzi! —

przerwałem. — Prowadzenie akcji aliusensorycznej poza

obrębem strefy wewnętrznej jest sprzeczne z

podstawowymi regułami.

— Tym razem Biuro się zgodzi. To będzie program

specjalny. Osoby postronne zostaną oddalone. Zastąpi je

się fantomami. Plan bazy Comandante A zostanie

dostarczony jeszcze dzisiaj.

Nagle poczułem się bezsilny i śmieszny. Kimkolwiek by był

ten, kto krył się w ciemności, wiedział o wiele więcej niŜ ja.

Przewidywał nawet moje wątpliwości i z góry miał przygotowane odpowiedzi. Czymś była w jego oczach moja władza nad skrawkiem aliusensorycznego świata baśni? On przecieś rządził rzeczywistością! Całą rzeczywistością! I oto teraz mnie samego programował jak maszynę do układania fabuł.

— Podaje się trzecie i ostatnie założenie — mówił dalej. —

W ostatniej scenie programu Alan King zabije Comandante A. Susan Young musi być przy tym obecna. Razem muszą dokonać zemsty. Za to, co prześyją wcześniej. Za to, co prześyje cała ludzkość. I cała ludzkość nasyci się zemstą na Comandante A. Ucichł.

— To oczywiście będzie fantom?! — spytałem sugerując odpowiedź, której pragnąłem. I oczekiwałem jej w napięciu, Ale ciemność milczała.

— To będzie fantom! — powtórzyłem. Czułem, że do mojego głosu zakradła się histeria.

W tym momencie sufit, ściany i podłoga parlatorium rozjarzyły się na nowo białym światłem. Zrozumiałem, że rozmowa jest ostatecznie zakończona. Nadchodził czas powrotu.

IX

śycie Alana Kinga szło normalnym uporządkowanym trybem; budził się na trzy godziny przed emisją, godzinę później otrzymywał najnowszy, napisany przez Davisa scenariusz, czytał go i przygotowywał się do akcji, w ciągu następnych kilku lub kilkunastu godzin wprowadzał pomysły swego anioła stróŜa w czyn, a po powrocie do ośrodka rekreacyjnego jadł coś, kładł się do łóŜka i prawie natychmiast zasypiał.

Dziwne zjawiska, które tak bardzo zaniepokoiły Barry'ego Birda, ustały całkowicie. JuŜ w dwa czy trzy dni po jego niezapowiadanych odwiedzinach napięcie wśród technicznego personelu aliusensorii wyraźnie spadło, potem wycofano dodatkowych wartowników, a wreszcie przywrócono przepustki do strefy zewnętrznej. Nie powtórzyło się teŜ więcej gorączkowe odwoływanie programów. Superman! nigdy nie dowiedzieli się, co krył za sobą przejściowy chaos, ale gdy ich zamknięty światek odzyskał swój zwykły, równy rytm, przestali się tym interesować. Tego dnia czekał Kinga kolejny duet z Susan Young. W'imię eksperymentu — obwieszczał go wielki nadruk na pierwszej stronie scenariusza — nie realizowano programu na Ŝadnym z poligonów strefy wewnętrznej, lecz w śródmieściu prawdziwego, wielkiego miasta. King i Susan mieli się tutaj

zmierzyć z przeciwnikami aliusensorii, ze zbrodniczą,
podziemną organizacją, na której czele stał tajemniczy
Comandante A.

Punkt rozpoczęcia emisji minął w samochodzie Susan.

Potem jechali przez kilka minut szeroką, ruchliwą ulicą. U
stóp wieŚowca mieszczącego magazyn hełmów
kontaktowych Susan skręciła na parking.

— Muszę sobie kupić nowy hełm — powiedziała. —

Wejdźmy tutaj i zobaczymy, co mają.

— Bardzo chętnie. — King z uśmiechem skinął głową. —

Niewiele jest rzeczy, które lubiłbym kupować bardziej.

Pierwsza scena programu zdawała się zapowiadać raczej

reklamówkę sprzętu aliusensorycznego niż awanturę

typową dla akcji wymyślonych przez Raya Davisa. Ale ów

sytuacyjny banał i dialogowa pospolitość wyświechtanego

komercyjnego chwytu nie zostały wprowadzone bez celu;

poprzez swoją codzienność i spokój miały uwydatnić grozę

scen, które rozegrają się później.

Na progu magazynu witała klientów młoda i piękna

sprzedawczyni.

— Czym mogę państwu służyć? — spytała, a King

popatrzył na nią z prawdziwą przyjemnością; podziwiał

regularne rysy twarzy, obfite pukle czarnych włosów,

doskonałą sylwetkę.

I dopiero po chwili spostrzegł błękitne kółko

wkomponowane w deseń jej sukienki.

Pomyślał: więc to jednak fantom! Ale heca! O mały włos

nabrałbym się tak samo, jak moi komwiwanci...

Podeszli do półek, na których mieniły się wszystkimi

barwami stopy hełmów.

— Najmodniejszy jest w tym roku kolor róŝowy —

podpowiadała sprzedawczyni. — A jeśli chodzi o jakość

odbioru, to najlepszą opinię ma firma „Impress”. Chociaŝ

moim zdaniem inne w niczym jej nie ustępują...

— Ten jest naprawdę piękny! — powiedziała Susan biorąc

do rąk jeden z hełmów.

— Ma pani świetny gust! — pochwaliła ją sprzedawczyni. —

A przecieŝ jego wygląd to jeszcze nic w porównaniu z

wraŝeniami, które przyniesie pani odbiór emisji. To jedyna

droga do prawdziwego szczęścia! Czymŝe byłoby nasze

ŝycie bez aliusens...

Nie zdołała dokończyć słowa; starannie wycelowana przez

kogoś kula trafiła ją w sam środek czoła.

Susan i King gwałtownie spojrzeli w stronę, z której rozległ

się huk wystrzału; doświadczenie supermanów kazało im

zawsze zwracać się twarzą ku nadchodzącemu

niebezpieczeństwu.

Zobaczyli kilku wbiegających męŝczyzn. Wszyscy byli

wysocy

i barczyści, wszyscy mieli ogolone do skóry głowy, wszyscy nosili czarne swetry i ciemne okulary w drucianych oprawkach. I wszyscy trzymali w dłoniach pistolety albo grube okute pałki.

— Brać ich! — warknął ten, w którym na pierwszy rzut oka

można było rozpoznać dowódcę. King bronił się, ale

otrzymał uderzenie pałką, a potem podcięto mu nogi. Upadł

i natychmiast przygniotły go kolana przynajmniej trzech

napastników. Wyłamali mu ręce i kawałkiem linki ściągnęli

za plecami nie tylko przeguby, ale i łokcie. Z Susan postąpili tak samo, a gdy zaczęła krzyczeć, dowódca chwycił ją za

włosy i otwartą dłońią kilkakrotnie uderzył w twarz.

— Uspokój się! — powiedział.

Wyprowadzono ich i wrzucono na platformę czekającej

przed magazynem ciężarówka. Leżąc twarzą do brudnych,

śmierdzących olejem i spalinami desek, King wyłowił

z pamięci fragment scenariusza: „Do magazynu wpadają

ludzie Comandante A. Zabijają sprzedawczynię, zaś Kinga

i Susan więżą, a potem zabierają ze sobą”.

Pomyślał: zabierają ze sobą! Ładnie sformułowane! Kto by przypuszczał, że będą aż tak brutalni...

Jazda nie trwała długo. Ciężarówka zatrzymała się na placu

otoczonym przez betonowe wieżowce. Porywacze

pociągnęli

Susan i Kinga do wejścia jednego z nich. Stamtąd, po kilku

stopniach, do piwnicznego korytarza, który kończył się niewielką komórką oświetloną nagą Śarówką. Wepchnęli ich tam i zatrzasnęli drzwi. — Co nam zrobią? — spytała Susan i King usłyszał w jej głosie nie udawany strach.

— Mam nadzieję, Śe nic złego — odparł, ale i jego zaczynały dręczyć niejasne przeczucia.

Na faktyczną odpowiedź czekali długo. Tak długo, Śe początkowe drętwienie ramion przemieniło się w ostry, szarpiący ból. Coraz trudniej teŚ było oddychać i coraz bardziej chciało się pić. Gdy zdawało im się juŚ, Śe osiągnęły kres wytrzymałości, drzwi od komórki otworzyły się gwałtownie i wszedł dowódca na czele swojej świty.

— **I co? Mielicie ochotę na nowy hełm, tak?** — spytał i zaniósł się nieprzyjemnym, szyderczym śmiechem. —

Lubicie się aliusensoryzować? Nie otrzymawszy odpowiedzi, przez chwilę uwaŚnie przyglądał się więźniom, a potem sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Wyciągnął z niej pomiętą, przybrudzoną kartkę.

— Zapoznam was teraz z oświadczeniem mojego szefa — powiedział — przywódcy naszego ruchu, niezrównanego Comandante A. RozłoŚył kartkę i zaczął czytać:

— „Comandante A do wszystkich, którzy korzystają z aliusensorii”.

Przerwał i przeniósł wzrok na związaną parę.

— A więc i do was — powiedział. — I do was zwraca się

nasz wódz! Spróbujcie to docenić! Po tej uwadze czytał

dalej:

— „Nienawidzę was i gardzę wami! Zamiast być własnym,

zwykłym, przeciętnym Syciem — gonicie za przygodami! **Za**

przyjemnością! Za emocją! Nie podoba mi się to zupełnie!

Położę temu kres! Każdy, kto chociaż raz kupił hełm

kontaktowy, kto chociaż raz się aliusensoryzował, kto

chociaż raz był kómwiwantem supermana czy

supermanki — jest moim wrogiem! A każdy mój wróg

dostanie lekcję, na jaką zasłużył. Do dawania lekcji

upoważniam moich ludzi. Cokolwiek czynią — z mojego

czynią rozkazu!". Skończył czytać, złożył i schował kartkę.

— Teraz już wiecie, o co chodzi — powiedział. Dał znak

swoim podwładnym i wskazał Kinga.

— Zaczynamy od niego — mruknął. Otrzymawszy

pierwsze, z pasją wymierzone ciosy, King prawie nie poczuł

bólu. Bezgraniczne zdumienie, które go ogarnęło, działało jak środek znieczulający. Pomyślał: scenariusz mówił o

przykrościach ze strony porywaczy... O przykrościach!

Dlaczego Davis nie uprzedził nas, że to będzie wyglądało w

ten sposób?! Uderzenia padały coraz gęściej. Kiedy

powaliły go na ziemię, a w piersi wbiły mu się okute obcasy

ciężkich buciorów, zrozumiał, że dłużej nie potrafi znieść

tego w milczeniu.

— Dosyć! — zawył. — Dooooosyć!!! I potem krzyczał dalej, chociaż wiedział, że jego protesty i błagania na nic się nie zdadzą; ci w czarnych swetrach to przecieŜ fantomy — muszą do końca wykonać program, na który je nastawiono.

— Wystarczy mu — zdecydował wreszcie dowódca. —

Teraz ona!

Przez czerwoną mgłę King widział, jak zbliŜają się do Susan.

Po chwili trzymali ją juŜ, a dowódca manipulował przy jakimś urządzeniu.

— ZałoŜymy niegrzecznej dziewczynce śliczne klipsy — powiedział przyczepiając do jej uszu dwie metalowe płytki, w których King rozpoznał elektrody.

Pomyślał: Davis zwariował! PrzecieŜ nie mogą tego zrobić!

Nie **mogą!!!**

Ale oni nie cofali się przed niczym. Włączyli prąd i straszny grymas wykrzywił twarz Susan, a jej ciało wypręŜyło się w gwałtownych drgawkach.

— Jeszcze raz! — dał znak dowódca. — To tylko łaskotki!

Kiedy zostawili ją wreszcie, a potem odeszli gasząc światło i zamykając z trzaskiem drzwi komórki, spadł na Kinga stan głębokiego odrętwienia. Czekał na go jeszcze zadania i cały dalszy przebieg programu zupełnie mu zuboŜniały.

Równocześnie wygasł w nim teŜ gniew na Davisa,

wściekłość wywołana nie tyle samym rozwojem akcji, co wyjściem na jaw nielojalnych przemilczeń i eufemizmów w scenariuszu. Dlaczego nie zapowiadał wprost momentów tak bolesnych i upokarzających? Dlaczego narażał ich na tak wielkie zaskoczenia? Wyjaśnienie tych zagadek już Kinga nie interesowało. Osiągnął punkt, w którym gotów był przyjąć bez oporu i bez roztrząsania każdą zniewagę; związanie rąk, brudną cementową posadzkę jako posłanie, głód, pragnienie i ból nawet. Zgadzał się na to wszystko pod tym jednym jedynym warunkiem, że wolno mu będzie leżeć bez ruchu i nie podejmować żadnego wysiłku. Ani fizycznego, ani intelektualnego.

Byłby pewnie poddał się i załamał zupełnie, gdyby nie świadomość ciąży na nim odpowiedzialności. To ona podsunęła mu obraz milionów mężczyzn, którzy za pośrednictwem aliusensorii doznają w tej chwili wszystkich jego cierpień. I muszą je znosić, bo nastawili programatory hełmów na całą emisję i tylko ktoś z zewnątrz mógłby ich wyzwolić. Zawodowy honor supermana nie pozwalał na przedłużanie takiej sytuacji, głos obowiązku wzywał do otrząśnięcia się z apatii.

King począł zmagać się z sobą, podjął ciężką, wewnętrzną walkę z paraliżującym zmęczeniem i odpływem woli. Pomyślał: nie wolno mi zawalać programu. Jeśli Davis

napisał to wszystko tak, a nie inaczej, i jeśli potem tak, a nie inaczej, przeprowadził realizację, to musi w tym tkwić jakiś

sens. I moim zadaniem jest jego pełny przekaz. Poprzez

działanie, wyłącznie poprzez działanie. Zaczął sobie

przypominać, co jeszcze przewidywał scenariusz.

Opornie mu to szło; nie uśmierzony ból odniesionych

obrażeń i napięte do ostateczności nerwy mąciły pamięć.

Dopiero po pewnym czasie uporządkował długi szereg scen

i wyłowił z niego informację o metalowym pręcie sterzącym

ze ściany obok drzwi komórki, tuż nad podłogą. Pomyślał: a

jeśli i to nie będzie się zgadzało? Ale pręt był! I to tak ostry, że linką krępującą Kinga puściła przy pierwszym z nim

zetknięciu, dosłownie natychmiast. Odzyskawszy swobodę

ruchów zerwał się i skoczył ku Susan;

wciąż drżała jeszcze, a gdy rozwiązał jej rękę, kurczowo

chwyciła go za szyję.

— To tak bolało! To tak bolało! — zaczęła powtarzać

nieprzytomnie. — To tak bolało!

Przestraszył się prawdziwości skargi w jej głosie.

Przestraszył się, że autentyzm i skala cierpienia zatarły w

jej wyobraźni wszelkie granice, że pozbawiły ją

świadomości uczestniczenia w grze. Przecież jeszcze przed

chwilą on sam był tego bliski.

— Uspokój się — powiedział całując ją i głaszcząc po

głowie. — Uspokój się. Uciekniemy stąd! Podniosła na

niego oczy.

— I zemścimy się na tym draniu Comandante A! —

powiedziała z zaciętością.

Odetchnął; to była kwestia z maszynopisu Davisa.

— Na tym draniu Comandante A — powtórzył jak echo.

Gdy na korytarzu rozległy się kroki i gdy po kilku sekundach

nasłuchiwania upewnił się, iż są to kroki pojedynczej osoby

(albo raczej pojedynczego fantomu), wiedział już, że

Źadnych dalszych zaskoczeń nie muszą się obawiać;

realizacja scenariusza ostatecznie powracała do

precyzyjnej wierności tekstowi.

— Uwaga! — szepnął do Susan. — Jeśli tutaj zajrzy,

musimy go załatwić. Nie wolno mu nawet westchnąć. Na

znak zrozumienia skinęła głową. Wszystko rozegrało się

błyskawicznie i w zupełnej ciszy;

ciekawski i zbyt pewny siebie wartownik okazał się

przeciwnikiem nader łatwym. Wszedł i nie nacisnął jeszcze

nawet wyłącznika światła, gdy twardy jak topór kant dłoni

Kinga przetrącił mu kark. Maszynowy pistolet, który zsunął

się przy tym z jego ramienia, nie zdążył zadzwonić o

posadzkę — Susan chwyciła go w locie. W następnej

sekundzie bezwładne ciało zostało odrzucone w najdalszy

kąt celi, a superman i jego partnerka wyskoczyli na

korytarz. Dwóm następnym porwaczom także nie dali

najmniejszej choćby szansy; gdy ukazał się jasny prostokąt wejścia i ich ciemniejące na jego tle postacie, Susan nacisnęła spust.

Jazgot serii wypełnił ciasną przestrzeń, zagrzecotał deszcz łusek i rozszedł się ostry zapach spalonego prochu, a obie sylwetki przewróciły się jak tekturowe strzeleckie tarcze.

— Brawo! — z podziwem wykrzyknął King. — Nie wiedziałem, że i to potrafisz!

Przypadł do ziemi i podczołgał się do jednego z leżących na progu fantomów. Wyjął z jego sztywniejącej dłoni ciężki staroświecki, sześcioprowadkowy rewolwer; teraz i on był uzbrojony. Zaraz potem, kryjąc się za trupem, bacznie zlustrował rozpościerający się przed budynkiem plac.

Zdał się spostrzec, jak wszyscy pozostali przeciwnicy chowają się za ścianką, którą przywieziono ich tutaj.

— Są! — rzucił za siebie w kierunku Susan. — Jeszcze pięciu. Razem z dowódcą.

Ci za samochodem musieli być zupełnie zdezorientowani; na pewno trudno im było uwierzyć, że King i Susan zdołali się wymknąć, z drugiej zaś strony nie mieli żadnego innego wyjaśnienia dopiero co zakończonej strzelaniny i śmierci wartowników. Wreszcie dwaj najodważniejsi zdecydowali się zaryzykować i poznać prawdę. Wsunęli się zza osłony i

skoczyli ku wejściu. Nie zrobili nawet dwóch susów; zlane w jeden grzmot strzały Kinga rozciągnęły ich tuś przed pojazdem. Trzeci porywacz, widząc los towarzyszy, rzucił się do ucieczki w przeciwnym kierunku. Dosięła go kolejna seria ze zdobyczej broni Susan. W ten sposób siły wyrównały się i King uznał, że czas atakować. — Przykryj ich ogniem tak, żeby nie mogli się ruszyć! — rozkazał dziewczynie. — Spróbuję złożyć im wizytę! Na jednym oddechu pokonał przestrzeń dzielącą go od ciężarówka. Następnym złapał dopiero wtedy, gdy całym ciałem przylgnął do blach szoferki. Odpoczął tutaj nieco, a potem mocniej zacisnął palce na kolbie rewolweru i rzucił się ku przeciwległej burcie pojazdu. Dokładnie w tym momencie spotkało go coś zupełnie niespodziewanego; zza rogu szoferki wyskoczył mężczyzna w czarnym swetrze. Rozpędzony tak samo jak King — tak samo jak on nie zdołał się już zatrzymać. Wpadli jeden na drugiego, zwarli się w mimowolnym uścisku, runęli na ziemię. King znalazł się pod nim. Pomyślał: on jest silniejszy! Nie wyrwę się! Jakby na potwierdzenie tych obaw dłonie fantomu zacisnęły się na jego szyi. Stalową obręczą palców wpiły się w skórę, zdławiły przełyk, zmiażdżyły naczynia krwionośne. Próbował odepchnąć te mordercze szpony, ale jego wysiłki

spełzły na niczym. I King coraz wyraźniej czuł, że się dusi.

Ciemniało mu już w oczach, gdy chwytając nagle i powietrze na nowo utorowało sobie drogę do jego pękających płuc. Przygniatające go całym swym ciężarem muskularne ciało bezwładnie zsunęło się na bok i zastygło w bezruchu. Zza niego wychyliła się Susan.

— Załatwione! — powiedziała. — Widzę, że zdążyłam w ostatniej chwili.

— Dziękuję... — wydyszał.

Podniósł się i oparł o maskę ciężarówki, rozejrzał się dookoła.

— A gdzie dowódca? — zapytał dostrzegłszy brak najważniejszego z porywaczy.

— Rzucił się do ucieczki, gdy zacząłeś walczyć z tym tutaj

— wskazała unieszkodliwiony przez siebie fantom. — Po drodze zdążył chwycić jeszcze pistolet, ma teraz dwa.

Strzelałam do niego, ale chyba bez skutku.. Najwyżej jest ranny.

—Gonimygo!—zadecydował.

— Zniknął za węglem tamtego budynku — wskazała kierunek.

Pobiegli. I już po kilku krokach spostrzegli na asfalcie aksamitny wzór wykreślony przez padające gęsto kropelki krwi. Od tego miejsca prowadziły dalej kolejne, nie

zakrzepłe jeszcze ślady; czerwona farba sącząca się z dodatkowego pojemnika w przedramieniu albo w **lydce** fantomu znaczyła wyraźny, niezawodny szlak. Biegli tym szlakiem od jednej betonowej budowli do drugiej przez wielkie, dudniące echem bramy, wzdłuŜ ścian, za którymi kryły się rzędy niezliczonych, identycznych *i* mieszkań. Wszędzie panował martwy spokój. Lokatorzy . tych gmachów — wszyscy co do jednego — leŜeli teraz w łóŜkach i na tapczanach. Ich głowy obejmowały lśniące kule hełmów kontaktowych. Dzięki nim uczestniczyli. o tak! — całą duszą uczestniczyli w toczącej się akcji. Ale zupełna bierność ich ciał nie mąciła ciszy najlŜejszym nawet dźwiękiem.

King pomyślał: co czują, gdy w czasie programu widzą mury swoich własnych domów, gdy rozpoznają miejsca od lat znajome? Czy wpadają na trop aliusensorycznego oszustwa? Czy teŜ — będąc mną — umacniają się w przekonaniu, Ŝe są sobą?

Wreszcie ukazał się oczom supermana i supermanki uciekający przed nimi fantom. Biegł cięŜko, chwiał się i potykał; jego program ruchu musiał obejmować elementy zakłócające, które włączono podczas strzelaniny i które teraz nasilały się z kaŜdą chwilą. A jednak nie zdołali go dopaść. Nim zbliŜyli się dostatecznie, zniknął w drzwiach na

pół zwałonego pawilonu. Wpadli tam za nim i ujrzeni rzędy

półek wypełnionych książkami; to była opuszczona.

dogorywająca w bałaganie i kurzu biblioteka. Już chcieli

skoczyć w głąb, gdy najbliższy regał zwałił się na nich

syjąc lawiną opastych tomów. Równocześnie rozległ się

okrzyk:

— Komendancie A! Komendancie A! Komendancie!!!

Zrozumieli, że osiągnęli cel; ranny przyprowadził ich do

kwatery wodza antyaliusensorycznego ruchu. Papierowe

barykady, które zostawiał za sobą wywracając półki, nikogo

i niczego nie mogły już osłonić. King szybciej od Susan

pokonywał przeszkody. I on też pierwszy wpadł do

niewielkiego pokoiku na tyłach magazynu. Scena, którą

zobaczył, tysiące razy miała mu stanąć w przyszłości przed

oczami, układ postaci i przedmiotów wgryzł się w jego

pamięć jak w fotograficzną błonę; biurko zwałone

książkami i rękopisami, dwaj mężczyźni, z których jeden —

po ogolonej głowie i czarnym swetrze (ciemne okulary

gdzieś zginęły) od razu poznał w nim dowódcę porywaczy

— cały powalany jest krwią, pistolet wycelowany w kierunku

wejścia — a więc w niego, w Kinga — w prawej ręce

rannego, lewa ręka wpychająca podobny pistolet w dłoń

drugiego mężczyzny, niebieskie kółko rozpoznawcze

fantomu — przypięte niedbale, jakby od niechcenia, może

nawet w ostatniej chwili — na piersi tego drugiego i wcale nie strach, lecz bezgraniczne zdumienie na jego twarzy.

Dokładnie tak to wyglądało. Pomyślał: mam ich! Ten drugi to Comandante A! Powziął to przekonanie w ułamku sekundy, by tylko przez taki czas mógł przyrzeć się obu mężczyznom. Właśnie po tym ułamku pistoletowa kula gorącym szarpnięciem rozorała mu skórę na czole i skroni. Ponaglony bólem odpowiedział błyskawicznie; pierwszym strzałem dosięgnął porywacza, następny oddał w kierunku drugiego mężczyzny. Długo rozmyślał później, skąd wzięła się niecelność drugiego pocisku — z koszmarnych przeżytych minionych godzin?, z otumanienia dopiero co odniesioną kontuzją?, z podświadomego wahania, które poprzedziło naciśnięcie spustu? Możliwe zresztą, że ze wszystkich tych i innych jeszcze powodów razem. Istotne było to, że kula przeszła szyję, a nie czoło Comandante A. King poprawił się natychmiast; poderwał lufę pistoletu i wypalił po raz trzeci. I tym razem trafił już prawidłowo.

Ale nim wyłączony i zablokowany — obecnie na pewno — fantom zdążył runąć na ziemię, wystąpił u niego objaw ze wszystkich miar dziwaczny, niczym nie uzasadniona anomalia; z otworu w szyi buchnęła krew. W pierwszej chwili King zanotował ten fakt wyłącznie oczyma, zabrakło mu czasu, by uchwycić jego znaczenie. Dopiero gdy

dokończył egzekucji, poczuł dreszcz niepokoju. Pomyślał:
krew z szyi? Skąd tam krew? W szyi fantom ma aparaturę
nagłośnieniową i odbiornik korekty wypowiedzi. Więc skąd
krew?! Do pokoju wpadła z impetem Susan.

— Zabiłeś go! — wykrzyknęła. — Wspaniale!

— Zabiłem go... — przytaknął machinalnie, chociaż według
scenariusza miał wydać z siebie jakiś zwycięski okrzyk; coś
dławiło mu krtań, odbierało chęć do wrzaskliwej
fanfaronady.

Stał z rozgrzany jeszcze od strzałów pistoletem
w opuszczonej dłoni i patrzył na leżącą u jego stóp postać.
Ulotne podejrzenie przerodziło się w nim już w całkowitą,
serce i mózg lodem ścinającą pewność: zabił prawdziwego
człowieka!

Pojął równocześnie, że tylko przypadek i własna
spozregawczość odkryły mu zakazany sens zdarzenia.
Realizatorzy programu chcieli, by myślał, że zlikwidował
fantom, by był nieświadomym narzędziem... Instynkt
nakazywał mu utrzymywać ich w przekonaniu, że podstęp
się udał.

X

Wyszedłem z ośrodka kontroli emisji zupełnie wyczerpany.

Program, który miałem za sobą, zawarł w sobie dozę ryzyka, na jaką nie pozwolono dotąd w ścisłej akcji aliusensorycznej, do najdalszych, ledwie dopuszczalnych granic rozszerzył margines spontanicznych, nie uzgodnionych reakcji supermanów. Dodatkowo męczyła mnie w ciągu tych godzin świadomość wagi całej sprawy, świadomość podwójnego — aliusensorycznego i rzeczywistego — znaczenia wydarzeń, od której zupełnie wolni byli ich bezpośredni uczestnicy — King i Susan.

Wiedziałem przecieŜ, Œe ja, tylko ja będę się musiał rozliczyć z kaŜdej mijającej sekundy. Przed tym, który w ciemnym wnętrzu półkuli powierzył mi zadanie. A niewykluczone, Œe równieŜ przed historią.

Więc zacząłem zestawiać rachunek; analizować przeniknięcie moich fikcji w świat realny, przeŜywając na nowo przesilenia całego procesu, grzebać w czasie gęstym od tego, co się w nim działo.

Aliusensoryczna machina rozkręciła się do najwyższych obrotów na długo przed przekroczeniem przez Kinga i Susan punktu rozpoczęcia emisji. Najpierw przygotowano teren akcji w rejonie magazynu hełmów kontaktowych. Zastąpiono fantomami jego personel, przeniesiono do

innych kwater mieszkańców okolicznych budynków, zainstalowano dookoła anteny i wzmacniacze. Mimo Źe prawdopodobieństwo wykrycia tych wstępnych kroków przez wywiad dogorywającego ruchu Comandante A było znikome, pracowano w najgłębszej tajemnicy. Jeszcze większej ostroŹności wymagało wytyczenie siedmiokilometrowej trasy, którą porywacze mieli przewieź supermana i jego partnerkę; z kaŹdym wszak metrem ekipy techniczne zbliŹały się do zrujnowanego pawilonu, w którym — według najŹwieŹszych raportów SłuŹby Spokoju — przebywał sam Comandante A i siedmiu członków jego przybocznej gwardii. ZaŹ piwniczną komórkę — docelowy punkt trasy, przyszłe miejsce uwięzienia Kinga i Susan — dzieliło od prawdziwej siedziby wrogów aliusensorii zaledwie kilkaset metrów. ToteŹ tutaj wszystkie urządzenia instalowało dwóch najbardziej zaufanych techników. Bez Źadnej pomocy, wyłączenie nocami. Z fantomami poszło łatwiej. Siedem z nich zaprogramowano bardzo prosto — jedynie do udziału w porwaniu, przejazdu cięŹarówką i dania lekcji bezbronnym, związanym ofiarom. Potem cała siódemka miała pozwolić na swoje sprawne unieszkodliwienie. Tylko ósmy fantom — dowódca — \otrzyma} szpulę z nieco dłuŹszą taŹmą. Zapisano na niej otwarcie pojemnika z farbą imitującą krew, bieg od

cięsarówki do pawilonu, kluczenie między bibliotecznymi półkami, spotkanie z A, przypięcie do jego piersi błękitnego kółka rozpoznawczego, wciśnięcie mu w dłoń pistoletu, a wreszcie strzał — ten ostatni, omalŝe celny strzał — do wbiegającego supermana. Mimo obfitości tych zadań dowódca fantomów nie budził we mnie specjalnej troski; jego konstruktorzy poddali go wszechstronnym testom, przeanalizowali i uwzględnili w potencjale jego zachowań blisko sto przypuszczalnych reakcji Comandante A, zaś czuwanie nad torem lotu kuli mającej drasnąć Kinga planowali powierzyć komputerowi. Nie, z tej strony raczej nie spodziewałem się kłopotów/

Na godzinę przed rozpoczęciem emisji przyczaili się wokół budynku zrujnowanej biblioteki komandosi ze Słuŝby Spokoju. Od tego momentu kaŝdy człowiek zbliŝający się do tego miejsca i kaŝdy usiłujący je opuścić musiał wpaść w ich ręce. Później, dokładnie wtedy gdy King i Susan będą uwalniać się z pułapki i zdobywać broń, miano zwinąć kordon i rozpocząć ostatni akord wydanego oddziałowi rozkazu; najsprawniejszy pluton wdrze się do wnętrza kwatery Comandante A i w walce wręcz rozprawi się z przyboczną gwardią. Zakładano (jakŝe lękałem się błędu w tych załoŝeniach!), ŝe zaskoczenie'pozwoli przeprowadzić operację w ciszy, ŝe przywódca ruchu — wywiad Słuŝby

Spokoju zdołał ustalić jego zwyczaj i wybrano porę, którą
przeznaczał na pisanie lub lekturę w oddzielnym,
osłoniętym dźwiękochłonnymi ścianami pokoiku — niczego
nie usłyszy. Miał pozostać zupełnie sam. I zupełnie
nieświadom bliskości zagrożenia. Takiego mieli zastać
uciekający fantom i goniący za nim King.

Nadszedł wreszcie czas właściwej emisji. A potem pierwsza
z szeregu ryzykownych scen; znęcanie się fantomów nad
Kingiem i Susan. Dopuszczalną ilość uderzeń i uderzeń
elektrowstrząsów wyliczono wprawdzie bardzo dokładnie,
dopasowano precyzyjnie do psychofizycznej kondycji
obojga, ale przecie nikt nie mógł dać gwarancji, że
pozbierają się i będą kontynuować program. Kiedy
zmalretowany King leżał bez ruchu, a wszystkie wskaźniki
w mojej kabinie sygnalizowały alarmujące natężenie jego
cierpienia, nie umiałem opanować niepokoju. Zaciskając
kciuki wpatrywałem się w ciemną plamę betonowej podłogi,
której obraz przesyłały na ekran kontrolny jego oczy, i w
kółko powtarzałem szeptem zakłęcie: „Wstań! Wstań!
Wstań!” Odetchnąłem dopiero po puszczeniu więzów
krępujących mu ręce. I zresztą na niedługo — w czasie
walki przy cięśarówce ponownie doznałem silnego
wzburzenia, dreszczy niepewności i napięcia.

Teraz huśtawkę związanych z programem emocji miałem

już za sobą. Alan King zastrzelił Comandante A —y-
wszyscy mężczyźni świata zastrzelili Comandante A. Susan
Young była przy tym — wszystkie kobiety świata też. Jutro
o świcie na murach domów pojawią się transparenty:
„Ludzkość nie zapomni tych, którzy ocalili aliusensorię” i
„Niech żyją pogromcy Comandante A”. Rzeczywistość,
która dzisiaj splótła się z fikcją programu, powróci na swoje
miejsce. Ale odtąd na zawsze pozostanie skażona tą fikcją,
jej zwielokrotnione odbicie w mózgach mas kryć
będzie fałsz. Bo patrząc na te transparenty każdy
przechodzień pomyśli: „To o mnie”. Zawaha się pewnie
zaraz, może nawet drżącymi czubkami palców sięgnie
głowy, by sprawdzić, czy wciąż nie tkwi na niej kontaktowy
hełm. Ale hełmu nie będzie; na murach wszystkich miast
naprawdę zawisną miliony transparentów. Więc następna
myśl przechodnia nabrzmieje przekonaniem: „To jednak o
mnie! Ja to zrobiłem! Ja!”. Mały człowieczek pójdzie dalej sycąc się wiarą we własną moc. Mijać
będzie takich
samyh jak on ludzików, półuśmieszkiem zaznaczać swoją
nad nimi wyższość, patrzeć na nich z pogardą... I nie
dostrzeże identycznych półuśmieszków na ich ustach i
identycznej pogardy w ich oczach. Nikt nikogo nie
wyprowadzi z błędu, bo prawie nikt z nikim już nie
rozmawia. Bezwolni somnambulicy powszechnie i do szpiku
kości poczują się sprawcami czynu o wadze historycznej,

tym razem zatracą wobec aliusensorii jakikolwiek dystans.

A kim w tej grze polityki, komiksowych przygód i wszechogarniającej złudy byłem ja? Długą drogę przeszedłem w poszukiwaniu ostatecznej odpowiedzi na to pytanie. Najpierw, tuŜ po wysłuchaniu głosu z ciemności, sam czułem się pajacem poruszonym przez niewidzialne nitki, robotem, którego istnienie i twórczość zaleŜą od nieprzystępnych i nieprzeniknionych, zdalnie kierujących nim mocy. W przypiływie pogardy dla siebie i ślepego, zrodzonego z niej buntu chciałem nawet odmówić napisania scenariusza, otworzyć oczy Kingowi, ostrzec i ocalić Comandante A. Pragnąłem wywalczyć, sobie niezaleŜność, godność, osobowość... Zabrakło mi odwagi; wiedziałem przecieŜ, Őe ceną — oprócz niewiadomej kary za nieposłuszeństwo — będzie bezpowrotne rozstanie z aliusensoria, a nie umiałem wyobrazić sobie niczego, co mogłoby mi ją zastąpić.

Wtedy pojąłem, Őe nie pozostaje mi nic innego, jak popatrzeć na całą tę sprawę i na moje w niej miejsce z innego punktu widzenia. I cóŜ z tego, Őe mną manipulowano? Równocześnie dawano mi wszak moŜność manipulowania innymi. Nie tylko Kingiem, który podporządkował mi się dobrowolnie, i nie tylko Comandante A, którego śmierci miałem dać odpowiednią oprawę.

Przed wszystkim zawisło ode mnie wewnętrzne Śycie
milionów odbiorców programów. Zawartość ich pamięci, ich
przekonania, ich nastroje i samoświadomość — ugniatałem
je jak miękką glinę, zamykałem w dowolne kształty, igrałem
nimi. Zająłem wobec zniewolonej aliusensoria ludzkości
pozycję bóstwa:

wszechwładnego, odbierającego wolną wolę,
nieodgadnionego w swych pomysłach... Ktoś — poza mną
samym i tymi ponad mną — wiedział, Śe jestem
ograniczonym w wyborze czynów, niesamodzielnym
bóstwem drugiej kategorii?

Poczucie przewagi nad tłumami nie wtajemniczonych
wynagrodziło mi własny brak swobody, przyniosło miły
smak odprężenia i zadowolenia z siebie. Do pracy nad
scenariuszem, który miał w sobie zawrzeć wykonanie
wyroku na Comandante A, zabrałem się już w pełnym
spokoju sumienia, prawie z radością. Zaś potem, gdy
gotowy tekst rozpętał szal przygotowań do emisji, czekając
na nią i zaznając krótkiego odpoczynku, pogrążyłem się w
snuciu planów. Przeczucie mówiło mi, Śe aliusensoria, raz
opuściwszy więzienie strefy wewnętrznej, nie da się
zapędzić tam z powrotem. Po pierwszym kroku nastąpią
dalsze; fantomy coraz częściej będą wybiegać na ulice
prawdziwych miast, superman! i supermanki będą kochać

albo zwalczać zwykłych, bez scenariusza Śyjących ludzi, a w wielkomiejskich pejzaŜach zadomowią się akcenty stanowiące trwałe przedłuŜenie minionych fikcji — spiŜowe posągi zmyślonych bohaterów, transparentowe wezwania do nieziszczalnych czynów, autentyczne budowle spełniające tylko rolę makiet i makiety do złudzenia przypominające autentyczne budowle...

Oswoiwszy się z rozległością wyrastających przede mną perspektyw i ośmieliwszy nieco, pozwoliłem wyobraźni sięgnąć jeszcze dalej; zacząłem marzyć o dniu, w którym przekaźnik aliusensoryczny wszczepiać się będzie w mózg kaŜdego noworodka. Doznania kaŜdego człowieka będą mogły zostać bezpośrednio przekazane innym!

Dysponowałbym wówczas milionami potencjalnych aktorów do odgrywania moich dramatów, nieustannie mógłbym zmieniać wykonawców. Nie znalazłby z góry przebiegu akcji, nie wiedzieliby nawet, Őe to właśnie ich wybrałem i włączyłem w sieć transmisyjną. Tylko fantomy, niemoŜliwe do odróŜnienia od ludzi fantomy, otrzymywałyby program działania. One rozpoczynałyby akcję, zawiązywały intrygi, prowokowały sytuacje. Moi wybrańcy reagowaliby tylko. I w końcu nikt nie mógłby juŜ odgadnąć, czy otacza go jawa, czy zwidy przeniesione przez hełm kontaktowy, czy rozmawia z człowiekiem, czy z fantomem, czy przeŜywa

coś sam, czy teŜ dzieli się tym ze wszystkimi. Tylko ja — niedostępny, ukryty za kulisami — patrzyłbym na ten wielki teatr i pojmowałbym reguły toczącej się na moich oczach gry.

W tych samych marzeniach wybiegłem ku encyklopediom i leksykonom przyszłości, które wśród haseł spod litery „D” na jednym z pierwszych miejsc przyniosą moje nazwisko:

„Davis, Ray, współtwórca nowego etapu w dziejach środków masowego przekazu”... Myślenie o tym sprawiło mi przyjemność nawet wtedy, gdy poprzez wytwory mojej fantazji przebijała obawa, Ŝe nikt — bo i dla kogo? — takich encyklopedii i leksykonów nie wydrukuje. Gdy

bezprecedensowa emisja dobiegła wreszcie końca, powziąłem jeszcze jedną i bardziej konkretną obawę; przekonałem się, Ŝe moje tajemnice mogą mi zostać wydarte w kaŜdej chwili, Ŝe nawet głupi przypadek zdolny jest odsłonić przed niepowołanymi oczyma drugie dno wymyślonych przeze mnie epizodów. PrzecieŜ niecelny strzał Kinga (pierwszy niecelny strzał w jego karierze! cóŜ za straszliwy pech!) i krwawa rana na szyi Comandante A stworzyły niezbity dowód wydania na śmierć prawdziwego człowieka, dowód pełnej premedytacji w zrobieniu z supermana mimowolnego kata. Obserwowałem więc mego podopiecznego i miotałem się między skrajnymi wnioskami:

zauwaŜył? — a moŜe jednak nie zauwaŜył?, domyślił się! —
a moŜe jednak nie domyślił? Dopiero po pewnym czasie
uznałem, Ŝe demaskatorski szczegół musiał ujść jego
uwadze. Jego zachowanie — spokojne, w niczym nie
zmienione — nie świadczyło o przeŜyciu jakiegokolwiek
wstrząsu. Odetchnąłem. Ale pojąłem, Ŝe w przyszłości
muszę być przezorniejszy.

XI

Od chwili fatalnego wstrząsu Alan King Œył w nieustannym, bolesnym rozdarciu. Na zewntrz pozostał wierny dotychczasowemu sposobowi bycia; Œmiał si goŒno, bił si, strzelał, caował pikne dziewczyny, beztrosko witał przygody, ktre przynosiły mu kolejne dni i kolejne scenariusze. Ale rwnoczeŒnie pod powok tych penych zapau, trwajcych siami rozsdku i przemoŒnego nawyku min i gestw krył si gboki smutek i poczucie winy, rozŒalenie i gniew, tysce podejrze i tyleŒ wtpliwoŒci. King drczył si, bo sprzeczne wartoŒci dyktoway mu odmienne postawy; troska o wasn skr i przywizanie do aliusensorii nakazyway milczenie, posuszestwo i radoŒć pomimo wszystko, zaŒ sumienie popychao do buntu. W rezultacie czu si i zachowywa tak, jak gdyby istnieli w nim dwaj rŒni ludzie — widoczny dla wszystkich, zdecydowany, nie przejmujcy si niczym, zawsze zwyciski superman i przyczajony, maskujcy si, peen waha i gorzkich przemyŒle poszukiwacz prawdy. To ten drugi z chorobliw fascynacj wpatrywa si wci w utrwalony przez pamie obraz; w ciasny, wypeniony ksiŒkami pokoik, w zniszczony fantom na pododze, \ w sylwetk padajcego czowieka i w ran na jego szyi. To ten drugi uparcie powtarza kilka pozostajcych bez

odpowiedzi pytań: kim był naprawdę Comandante A?, jaką rolę odegrał w strefie zewnętrznej?, dlaczego włączono jego śmierć w fabułę programu?, czy coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy?, gdzie właściwie przebiegała granica pomiędzy aliusensoryczną fikcją a rzeczywistymi dramataми współczesności ?

Po dwóch tygodniach King poczuł, że nie zniesie dłużej samotnego szamotania się w gęstej sieci tajemnic. Musiał rzucić z siebie ciężar milczenia, podzielić się z kimś | przerażającym spostrzeżeniem, zasięgnąć rady albo chociaż usłyszeć kilka słów rozgrzeszenia i pociechy. Z kim miał jednak rozmawiać? Z Davisem, nielojalnym aniołem stróżem, który z zimną krwią go oszukał? Z Susan, poza seansami narkotycznymi zaprzętą wyłącznie gładkością własnej skóry i nowymi strojami? Z Barrym Birdem i innymi supermanami z konkurencyjnych stacji? Dopiero gdy zrozumiał, że w strefie wewnętrznej nie może liczyć na nikogo, przypomniał mu się Johann Garin. Gdy przypomniał sobie inwalidzki fotel i zagłębioną w nim, owiniętą pledami postać, poczuł coś na kształt niepokoju i zawstydzenia; wbrew pierwotnym zamiarom od dnia podjęcia pracy w aliusensorii nie odwiedził przyjaciela ani razu. Być może podświadomie unikał go nawet, bo bał się celnych złośliwostek — kpin ze swego supermańskiego statusu i

wyszydzenia płycizny epizodów, których przeżywaniu poświęcił cały swój czas. Pomyślał: a jednak to Johann moŜe mi najlepiej pomóc — dzięki swoim doświadczeniom telewizyjnego sprawozdawcy zna i rozumie mechanizmy masowego przekazu, ma rozległe zainteresowania, korzysta z aliusensorii, ale zachowuje wobec niej dystans...

On musi coś wiedzieć! Z niecierpliwością zaczął oczekiwać przepustki do strefy zewnętrznej. Nadzieja na najmniejszy choćby okrucuch wyjaśnień poprawiła mu samopoczucie, łatwiejsze stało się nawet codzienne udawanie wesołości i entuzjazmu. Wreszcie udało mu się wyrwać. PoniewaŜ kilka ostatnich dni

spędził na poligonie dość odległym od miejsca zamieszkania Johanna, połowę wolnego czasu musiał poświęcić na lot odrzutowcem. Ale zrobił to bez Ŝalu.

PodróŜował w zwykły sposób; nie odzywając się do nikogo, z agentem SłuŜby Spokoju jako nieodłącznym towarzyszem, w masce starca kryjącej jego własne rysy i w bezbarwnym stroju człowieka z tłumu. Tak dotarł przed dom odwiedzany niegdyś prawie' codziennie.

— Proszę zaczekać na mnie tutaj — rzucił agentowi.

Wbiegł po kilku płaskich stopniach, nacisnął guzik dzwonka.

Przez wąskie okienko w drzwiach zaczął wpatrywać się w widniejącą po drugiej stronie perspektywę długiego

korytarza. Pojawienie się sunącego wolniutko fotela na kółkach powitał mocniejszym biciem serca i nagłym, burzliwym i chaotycznym przyływem wszystkich przemyśleń, które go tutaj sprowadziły. Oto nareszcie będzie mógł je z siebie wyrzucić; będzie mówić i mówić! Pytać, pytać i pytać! I moŜe usłyszy chociaŜ część odpowiedzi... Drzwi otworzyły się na ościeŜ. Alan King i Johann Garin, rozdzieleni tylko progiem, znieruchomieli twarzą w twarz. Scena ta — zupełnie naturalna z początku — zaczęła się niepokojąco wydłuŜać; gospodarz nie zapraszał do środka, zastawił sobą przejście, nie spostrzegł nawet wyciągniętej ku niemu na powitanie dłoni. Jego twarde, badawcze spojrzenie zdawało się prześwietlać gościa, nieprzyjaźnie przenikać go na wskroś w poszukiwaniu ukrytej broni albo moŜe raczej słabego punktu, który najłatwiej podda się atakowi.

— Nie poznałeś mnie pewno... To mnie trochę zmienia... — czubkami palców swojej wzgardzonej, zawisłej w próŜni dłoni King sięgnął policzka. — To maska... Jestem...

— Poznałem cię od razu! — słowa Garina ostro, jak noŜem, przecięły wyjaśnienia. A jego oczy wcale nie złagodniały. Przeciwnie — ŝwidrowały jeszcze głębiej, kłuły pogardą i wyrzutem, odpychały.

King czuł się coraz bardziej nieswojo. Podŝwiadomie

zgadywał, że jego długie milczenie i zaniechanie odwiedzin nie mogą być dostateczną przyczyną takiego powitania.

Musiałoby być na nim coś o wiele poważniejszego, jakaś wina bardziej zasadnicza i trudniejsza do odpuszczenia.

— O co ci chodzi?! — zapytał nie mogąc znieść dłuższej napęczniałej oskarżeniem ciszy; bał się prawdy, bo spodziewał się już najgorszego, ale równocześnie wolał to od kolejnej, nie wyjaśnionej tajemnicy. Johann nie odpowiedział natychmiast. Pomilczał jeszcze chwilę, a dopiero potem wygłosił coś, co brzmiało jak od dawna obmyślana mowa:

— Ostrzegałem cię. Prosiłem cię wiele razy, żebyś nie pozwolił zrobić z siebie gladiatora, niewolnika własnym kosztem dostarczającego brutalnych, krwawych rozrywek. Ale ty nie chciałeś słuchać! Bawiłeś się i wierzyłeś w swoją bezkarność. Nie czułeś, że coraz głębiej zapadasz się w krępujące każdy ruch i każdą myśl bagno. Wiesz, kim jesteś dzisiaj?! Zerem! Zdalnie kierowaną kukłą! Bezmyślnym robotem! A-najgorsze jest to, że takie zero jak ty stało się narzędziem do zniszczenia najwspanialszego człowieka epoki — wargi wykrzywił mu grymas, który • równie dobrze mogła wywołać wściekłość czy fala śmiechu. — Doigrałeś się! Zrobili z ciebie mordercę! Mordercę! Rozumiesz?!

King musiał odskoczyć, bo popchnięte z rozmachem drzwi

zatrzasnęły mu się przed samym nosem. A gdy po sekundzie konsternacji zajrzał przez wąską szybkę, zobaczył już tylko odjeżdżający fotel — jego oparcie i łysiejącą potylicę Johanna. Było w tym oddalaniu się coś tak bardzo ostatecznego, że nie próbował zadzwonić ponownie czy dobijać się w inny sposób; poczuł bardziej, niż zrozumiał, że łatwa dalsza rozmowa między nim a dawnym przyjacielem nie jest możliwa, że nie zdoła zasypać wyrosłej między nimi przepaści. I kiedy tak wpatrywał się w obrócone ku sobie plecy jedyne go człowieka, na którego liczył, uderzyła go jakaś trudna do sprecyzowania, drobna nowość w jego ruchomym legowisku, jakiś drażniący szczegół niezgodny z tym, co utrwaliła pamięć. Coś to mogło być? Skupił się i nim fotel zniknął za drzwiami w głębi korytarza, przyjrzał mu się dokładnie raz jeszcze. Wtedy zauważył: z oparcia usunięto specjalny zagłówek i zaczepy do mocowania hełmu kontaktowego. To mogło oznaczać tylko jedno: Johann Garin już się nie aliusensoryzował. King zbiegł po schodach na ulicę.

— Coś nie tak? Może pomóc? — agent natychmiast przybliżył się do niego pełen usługomości -i chyba nie tylko służbowego zaciekawienia.

— Nie — odparł. — Wszystko w porządku. Teraz

pójdziemy się przejść, a potem wrócimy na lotnisko. Rychło znaleźli się w centrum miasta. King szedł wielkimi, mocno stawianymi — nie pasującymi właściwie do jego starczej charakteryzacji — krokami. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie kurtki i nisko pochylił głowę. Nie widział innych przechodniów; rozpychał ich łokciami, szturchał i potraçał. Zdziwionymi oczyma odprowadzali wiekowego impertynenta, sykali gniewnie i nawet rzucali obelgi, ale on zdawał się tego nie słyszeć.

Myślał: więc Comandante A rzeczywiście odgrywał jakąś ważną rolę w strefie zewnętrznej. Musiał być kimś .
niezwykłym, jeśli Johann tak wysoko go cenił. Jak on go nazwał? „Najwspanialszy człowiek epoki!" Chyba właśnie tak. A ja pomogłem rozbudzić powszechną nienawiść do niego. I później zabiłem go. Co prawda nieświadomie.
Bezwiednie. Mimowolnie. Ale zabiłem. Cóż — zostałem wystrychnięty na dudka. Zresztą nie tylko ja. Ci wszyscy, którzy oglądali program — także. Podniósł głowę, rozejrzał się dookoła. Po raz pierwszy od bardzo dawno poczuł więź z tymi, którzy tworzyli otaczający go tłum. Wypełniły go zrozumienie i sympatia dla tych otumanionych, manekinowatych człowieczków, którzy tak samo jak on nie mieli własnego, autentycznego Źycia, którzy pozwalali się oszukiwać i wplątywać w niezrozumiałe dla siebie gry. Jak

mógł im pomóc? Czy powinien stanąć na rogu najbardziej

ruchliwej ulicy i wykrzyzczyć całą prawdę

— a raczej znany mu okruczeństwo — o aliusensorii? Czy

miał zrezygnować z dalszej pracy? A może należało

wywołać ferment wśród supermanek i supermanów?

Zdawał sobie sprawę z anemiczności tych pomysłów, z ich

rozpaczliwej niewspółmierności do ogromu zadania, jakim

było rozproszenie cięskiego, aliusensorycznego tumanu w

mózgach milionów. Coraz lepiej rozumiał, że jest bezsilny.

Nagle ogarnęło go przerażenie: a jeśli i obecne jego

prześwycia zostały przez kogoś zaprogramowane? Nie

wręczono mu wprawdzie scenariusza, ale może działał pod

nie rozszyfrowaną w porę, dyskretną sugestią? Może go

sprowokowano, naprowadzono, podpuszczono?

Przepustka? Spotkanie z Johannem? Włóczęga po

mieście? To wszystko mogły być epizody jakiejś akcji. Więc

może przekaźnik w jego mózgu cały czas pozostawał

włączony? Może cały czas — bez jego wiedzy —

prowadzono emisję?

— Nie! — szepnął do siebie i machinalnie, jak gdyby **chcąc**

dodać swemu przekonaniu mocy, potrząsnął głową. — Nie!

Nie zdołali mnie przecieś aż tak omotać. Nie są aż tak

wszechwładni.

Odetchnął głęboko, opanował się. Znowu zaczął stawiać

długie, równo odmierzone kroki. I znowu jego wzrok

przykuły czubki butów.

Myślał: skąd Johann znał Comandante A? I skąd wiedział,

że to naprawdę on zginął w czasie programu? Krwawiąca

rana na szyi mogła być informacją dla mnie, dla każdego

innego supermana czy pracownika stacji, ale w takim

wypadku dla zwykłego odbiorcy; przecież konstrukcja

fantomów i sam fakt posługiwania się nimi to najściślej

strzeżone sekrety aliusensorii. Bez ich zachowania — tak

samo jak bez ukrycia zasad realizacji scenariuszy,

znaczenia błękitnych kółek rozpoznawczych i trików — nie

byłoby mowy o pełnej iluzji. A jednak Johann rozgryzł to

wszystko, przeniknął, wyświecił... Kto mu pomógł? Musi

mieć jakichś nowych przyjaciół, którym ufa i z którymi

wspólnie gromadzi wiedzę o rzeczywistości. Może to nawet

prawdziwi ludzie Comandante A? A ci, co ich zwalczają?

Na pewno też trzymają się razem. Tylko ja jestem teraz

skazany na zupełną samotność. Nie mam nikogo. Nikogo...

A wszak o krok od niego przewalały się ludzkie masy,

pływały nieustannie w górę i w dół ulicy, spieszyły ku

nieznanym celom. W każdej sekundzie mógł dotknąć kogoś

ręką, posłyszeć czyjeś słowa albo oddech, złowić zapach

modnych kosmetyków i papierosów. Z tym większą

przykrością uświadamiał sobie, że owa bliskość ma wymiar

czysto fizyczny, Œe towarzyszy jej kosmiczny dystans w sferze ducha. Œlizgajc si wzrokiem po twarzach bez wyrazu, po nieobecnych Œrenicach, po bezmyŒlnie uchylonych ustach i gadkich, nie poradlonych rozwaŒaniami czoach, ostatecznie poddawa si uczuciom opuszczenia i beznadziejnoŒci.

Wtem dozna wstrzsu; z przeciwnka zbliŒy si dziewczyna niepodobna do Œadnej ze znanych mu kobiet. Wystarczyo pierwszego wejrzenia, by — zdumiony, zafascynowany, zachwycony — zapragna pozna j i za wszelk cen pozyska jej sympati. Najdziwniejsze zaŒ byo to. Œe wcale nie uroda stanowia tu pierwszy, dominujcy magnes; bez wtpienia zna doskonalsze sylwetki i twarze. PrzemoŒny urok dziewczyny kry si nie w samej powierzchownoŒci, lecz w jej akcentach, ktore wszem wobec zdaway si odkrywa jej Œycie wewntrzne; w bogactwie mimiki, w spostrzegawczych, penych inteligencji oczach, w swobodzie i energii gestw. Na tle monotonnego, jak nudny, czarno-biay film wlokcego si tumu ona jedna odcina si blaskiem postaci sfotografowanej na taŒmie barwnej. A w kaŒdym razie tak widzia j King. ZauwaŒya go (jakaŒ kobieta nie poczuaby natarczywie wlepionego w siebie wzroku?), przyjrzaa mu si nieufnie, a gdy si minli, wyraŒnie przyspieszya kroku. Nie mg jej zgubi! Nie bacząc na zdumienie agenta obrci si na

pięcie i podążał za nią.

W rezultacie szli gęsiego; dziewczyna, za nią King, a na końcu agent. Jak giętki, trójczłonowy wąż przebijali się przez tłum, w tym porządku mijali ulice i place, napowietrzne parki i podziemne pasaży, smugi blasku i cienia, jakimi malował się na asfalcie gęsty las wieśmianów.

Dziewczyna zorientowała się szybko, że ktoś ją śledzi i — zdradzając coraz większy niepokój — prawie biegła. King starał się nawet na moment nie stracić jej z oczu. A agent dbał o to, by nie odpaść od Kinga. W pewnej chwili dziewczyna skręciła na ruchome schody prowadzące ku płaszczyźnie wielkiego parkingu; gdzieś tam musiała zostawić samochód. Widząc to King pojął, że nadszedł ostatni moment, że jeśli nie zaczepi jej teraz, straci jedyną szansę. W dwóch skokach znalazł się przy niej.

— Proszę pani! — powiedział. — Jestem Alan King.

Chciałbym z panią chwilę porozmawiać...

— Ale ja nie znam pana — rzuciła w przestrzeń. Bo nawet nie odwróciła ku niemu głowy; jej wzrok uparcie tkwił w pomoście, ku któremu niesły stopnie.

— Jestem Alan King! — powtórzył z naciskiem.

Myślał: na pewno wie, kim jestem! Musiała mnie zapamiętać!

Ale dziewczyna wciąż wydawała się zakłopotana,

speszona.

a może i przejęta lękiem. Nie zdradziła natomiast ani śladu radości, zachwytu czy uniesienia...

— Jestem superman Alan King! — przedstawił się po raz trzeci krzyżąc prawie i nie umiejąc już ukryć pretensji: nigdy dotąd nie zdarzyło mu się, by magiczne zaklęcie złożone z jego imienia i nazwiska nie wzbudziło żadnego oddźwięku. A może nie działało, gdy miał zasłoniętą twarz? Skoczył o dwa stopnie wyżej, przed dziewczynę. Odwrócił się ku niej. I zrobił to, czego najsurowiej zabraniały wszystkie regulaminy pobytu w strefie zewnętrznej: jednym ruchem zdarł maskę.

— Teraz poznajesz?! — krzyknął. ~ Byłaś przecież ze mną, gdy byłaś Susan Young!!!

Jego gest wywołał wrzenie, wyzwolił cały ciąg błyskawicznie następujących po sobie spięć; stopnie dotarły na górę.

fascynująca nieznajoma zwinnie prześlizgnęła się obok niego

i całkiem już otwarcie zaczęła uciekać, on nie pobiął za nią,

bo obecni w pobliżu przechodnie rzucili się ku niemu

i zamknęli szczelny dławiący krąg, agent zaczął wrzeszczeć coś do ukrytego pod krawatem mikrofonu, z dołu wciąż napływali nowi ludzie.

— Alan King! Alan King! To jest Alan King! — rozlega się ze wszystkich stron powtarzana w kółko wiadomość. Ponad setka rąk kobiecych i męskich próbowała chwycić go, pogłaskać albo chociaż dotknąć. Musiał użyć wszystkich sił, by wyrwać się z tego żywego, zaborczego gąszczu. Ale gdy wreszcie skoczył naprzód, dziewczyna była już daleko; wsiadała właśnie do małego, czerwonego kabrioletu. W sekundę później ruszyła ostro. Czy miała zniknąć na zawsze? Nie chciał się z tym pogodzić — nie przestawał biec. Ujrawszy młodego mężczyznę niezdarnie manewrującego na wstecznym biegu wielkim krądownikiem szos, nie zastanawiał się nawet przez mgnienie.

Przyskoczył, szarpnął drzwiczki, wypchnął kierowcę i sam zajął jego miejsce. Przełożył dźwignię — silnik nie miał czasu zgasnąć — i z całej siły wdusił gaz. Zapiszczały na betonie opony. Wóz poderwał się jak torpeda. King zerknął we wsteczne lusterko; zostawiał za sobą klnącego właściciela maszyny. pulsującą, rozkrzyczaną ciembę i uwięzionego w niej agenta Służby Spokoju.

Dopędził dziewczynę przy pierwszych czerwonych światłach. Oddzielały ich trzy albo cztery pojazdy, więc na razie nie mogła go dostrzec. Gdy semafor zapłonął jaskrawą zielenią, zaczęła jechać szybko, ale na pewno nie tak, jak ktoś obawiający się pościgu. Prowadziła spokojnie,

bez brawury. Dla Kinga taka jazda miała smak prawdziwego relaksu. Z rękami swobodnie spoczywającymi na kierownicy rozmyślał o tym, co mu się przydarzyło. Wspomnił początek tej nie skończonej jeszcze, wciąż kryjącej w sobie zagadkę historii i ze zdumieniem liczył szaleństwa, które popełnił: uległ nastrojowi — raz, zdjął maskę — dwa, w sposób godny strefy wewnętrznej zdobył samochód — trzy, umknął własnej ochronie — cztery... Reagował samodzielnie, spontanicznie i z rozmachem — przenikało go oświeczone poczucie swobody, jakiego nie zaznał od dawna. Ogarnęło go rozbawienie; podjął pracę w aliusensorii po to, by osiągnąć pełnię Śycia, a rozkoszował się nią dopiero teraz — gdy głęboko się firmie sprzeniewierzył. Potem jednak spoza wesołości wychynął lęk. Powróciła obawa o to, czy całe jego zachowanie nie jest prowokowane i zręcznie, bez jego udziału, sterowane. Czy wszystko, co się dzieje, nie zostało wymyślone przez Davisa. Przejechali kilka kolejnych kilometrów, nim przestał się wahać i odrzucił podejrzenia. Gdyby były uzasadnione, dziewczyna teś musiałaby pracować dla aliusensorii. A przecieś poszedł za nią, bo kaśdy jej gest i kaśde spojrzenie przeczyły możliwości takiego związku.

A właściwie dlaczego pędził za nią teraz? Czy nie uległ
wykształconemu w aliusensorycznych przygodach
odruchowi ścigania kaŜdego, kto ucieka? Co jeszcze chciał
usłyszeć? Jaką informację? Jakie wyjaśnienie? Dowiedział
się juŜ, Ŝe zabił wartościowego człowieka, Ŝe wcześniej
pomógł go przedstawić w fałszywym świetle ogółowi, Ŝe
pozwolił się oszukać, Ŝe stracił przyjaźń Johanna. Jakiej
więc rewelacji oczekiwał —bo przecieŜ oczekiwał — od tej
dziewczyny. J na jakiej podstawie? — ulotnego wrażenia?,
powierzchnowego zachwytu?, nie sprawdzonych złudzeń?
Medytował, przeŜuwał pytania, sondował samego siebie.
Ale przez cały ten czas nieoczekiwanie przebudzony w nim
instynkt fizjonomisty nakazywał trzymać się w pobliŜu
czerwonego samochodziku i jego pasaŜerki. Przypomniał
Obietnicę wyczytaną w jej twarzy. Podtrzymywał nadzieję.
Na co? Dopiero na szosie, daleko za miastem, King pojął,
Ŝe nie ciekawią go nowe szokujące fakty. Chodziło mu o
coś znacznie bardziej zasadniczego; pod wpływem
doświadczeń utracił poczucie sensu własnego i
czyjegokolwiek Ŝycia, a teraz wierzył, Ŝe nieznajoma
pomoŜe mu je odzyskać, Ŝe to potrafi.

Nie zwróciła na niego uwagi i przez dalszych kilkadziesiąt
kilometrów. Nerwowo zerkać we wsteczne lusterko zaczęła
wtedy, gdy skręcił za nią w wąziutką, leśną dróŜkę. Ale juŜ

było za późno. Nie mogła zawrócić. Po godzinie jazdy, w czasie której koła ciężko pracowały w piachu i na głębokich wybojach, zza drzew wyłoniła się rozległa polana i rozbite na niej, z kilku namiotów złożone obozowisko. Tutaj dziewczyna zahamowała wóz, wyskoczyła z niego i nim King zdołał ją zatrzymać, zniknęła w największym namiocie. Zaraz potem wybiegło stamtąd kilkunastu ludzi, Na ich czele ukazał się wysoki, barczysty brodac. King zdębiał. W jego wyobraźni dziewczyna stała samotnie — nie przewidział, że może być z kimś związana i zupełnie nie przygotował się na takie spotkanie. Stał nie potrafiąc wydusić z siebie słowa, a tymczasem brodac zbliżył się patrząc gniewnie i zaciskając pięści. Chyba właśnie widok tej bojowej postawy przeważał i zdecydował o ostatecznej reakcji Kinga. Nie zastanawiając się więcej, ulegając supermańskiemu nawykowi — uderzył pierwszy. Ale i w tym względzie czekało go zaskoczenie; przeciwnik boksował lepiej! Zdał się uchylić, sprawił, że pięść poszła w próżnię i z kolei sam odpowiedział miażdżącym ciosem w szczękę. King zachwiał się i nim dosięgnął ziemi, ogarnęła go ciemność.

Nie wiedział, jak długo leżał bez zmysłów. Powolne powracanie świadomości wiodło przez wrażenie spoczywania w głębokiej, matowej, nieprzejrzystej bieli.

Spoza niej — jak przez gęstą watę — dobiegały słowa prowadzonej tuż obok rozmowy.

— Przyczepił się do mnie jeszcze w mieście — King domyślił się, że mówi dziewczyna. — Wydawało mi się, że go zgubiłam. Ale on mnie jednak pilnował... Powiedział, że jest supermanem...

— Zgadza się! Poznaję go! — inny kobiecy głos drżał z emocji. — Aliusensoryzowałam się wtedy ostatni raz w Syciu... Wtedy, gdy on zabił Comandante! Zapadła naładowana napięciem cisza.

— Jesteś pewna? — zapytał po chwili jakiś mężczyzna.

— Tak! Tak! Najzupełniej!

Znowu nikt nic nie mówił. Ktoś tylko westchnął głęboko, ktoś

inny nerwowo przełykał ślinę.

— Co z nim zrobimy? — ta kwestia musiała się pojawić

wcześniej lub później; wypływała z istoty sytuacji, pchała się siłą nieodwołalnej konieczności. Milczenie trwało.

— Powtarzam: co z nim zrobimy?! — ten, który w czterech słowach odsłonił wiszącą nad wszystkimi potrzebę podjęcia decyzji, musiał należeć do ludzi, co szybko się niecierpliwia. Ale ponaglenie tego nie pomogło.

— Trzeba go zabić! — wobec powściągliwości reszty najbardziej porywczy rozstrzygał sam. — Drugi raz nie wpadnie w nasze ręce...

Kilka głosów wyraziło nieśmiało potakiwanie, a potem szmer przepelnionych wrogością słów zaczął rosnać aŜ po okrzyki wściekłej, napastliwej wrzawy.

— Uspokójkcie się! — dudniący bas pasował do brodatego boksera. — Chcecie się na nim mścić? Równie dobrze

moglibyście się mścić na pistolecie za to, Ŝe wyrzucił kulę. a na kuli za to, Ŝe trafiła. To juŜ nie jest myślący człowiek. To sterowany przez innych automat. Sam nic nie zawinił! Ta

mowa obrończa ukłuła Kinga mocniej niŜ najzłośliwsze, najsurowsze oskarŜenie. Przeraziła go bardziej niŜ zatwierdzenie wyroku.

Pomyślał: juŜ drugi raz zostałem dzisiaj nazwany maszyną, juŜ drugi raz uznano, Ŝe utraciłem człowieczeństwo... Czy rzeczywiście upadłem aŜ tak nisko?

— Więc co? — niepokoiły się tymczasem dookoła liczne głosy. — Jakie mamy wyjście?

— Uciekamy! — podjął decyzję bas. — I zabieramy jego samochód. Na piechotę nie wydostanie się stąd zbyt szybko. Nim zdąŜy kogokolwiek zawiadomić, będziemy daleko. Tutaj i tak w końcu by nas nakryli. Nie protestowano. Do uszu Kinga dobiegało szuranie wielu rozchodzących się stóp.

— Ale właściwie dlaczego on mnie gonił? — zastanawiała się jeszcze głośnie dziewczyna.

— Nie wiem... — bas wyraźnie oddalił się juŜ o kilka kroków. — MoŜe nawet on sam nie wie... Trudno zrozumieć

tych z aliusensorii. Comandante twierdził, że ta praca kałdego z nich doprowadziła do szaleństwa... A moze to było przyciąganie przeciwieństw? Ty, która nie aliusensoryzowałaś się nigdy, i on — zagrzebany w tym świństwie po uszy...

— Bardzo mi go sal — stwierdziła nagle. — Moze powinnam do niego wrócić? Moze trzeba mu pomóc? I w końcu dlaczego nie miałabym z nim porozmawiać? W trakcie wypowiedzania tych pytań jej głos nie ścichł, a to znaczyło, że akurat się zatrzymała. Czyby naprawdę chciała się cofnąć?

— Dajże spokój! — natęzenie basu na moment się podniosło. — Zbyt mało nas zostało, by ryzykować! Zresztą nie zrobiłem mu krzywdy. Sam przyjdzie do siebie...

Rozmowa nie skończyła się na tym, ale nadmierny już dystans i hałas towarzyszący zwijaniu obozowiska zatarły słowa, uniemożliwiły dalsze ich rozumienie. Alan King jeszcze przez wiele chwil leżał na pachnącej mchem i igliwem ziemi. Nie poruszył się nawet po otwarciu oczu i całkowitym odzyskaniu przytomności. Przez jego głowę płynęły tysiące myśli.

Kiedy podniósł się wreszcie, nic nie zakłócało leśnej ciszy, a na polanie nie było nikogo. Rozejrzał się, a potem powłókł się tą samą drogą, która go tutaj przyprowadziła. Po trzech

godzinach dotarł do szosy. Tam teŜ — po kolejnej godzinie
marszu — trafił na jeden z wielu poszukujących go patroli
SłuŜby Spokoju.

XII

Byłem przekonany, że odpowiadając na pytania dotyczące tamtego popołudnia, Alan King nie mówił prawdy. Jego wyjaśnienie, że odsłonił twarz, bo na własnej skórze pragnął sprawdzić zasadność przepisu o maskowaniu się w strefie zewnętrznej (dla większej wiarygodności przytoczył nawet fragmenty rozmowy na ten temat, jaką przeprowadził kiedyś ze mną), mogło zadowolić funkcjonariuszy Służby Spokoju, ale mnie od razu wydało się naciągane. Równie wykrętnie brzmiały zapewnienia, że nie może przypomnieć sobie miejsca, w którym zostawił porwany samochód (nie odnaleziono go nigdy). A już najmocniej pachniały mi kłamstwem słowa, z których wynikało, że zaczepił na ruchomych schodach przypadkową dziewczynę, że wcale nie szedł za nią wcześniej i że nie próbował gonić jej później (tej uparcie powtarzanej niedorzeczności całkowicie przeczył raport agenta ochrony).

Mimo wszystko śledztwo w sprawie incydentu na parkingu umorzono już w kilka godzin po rozpoczęciu; niepoświadczonych świadków nie było wielu, właściciel pojazdu przystał na wypłatę odszkodowania, a aliusensoria potrzebowała Kinga — w gruncie rzeczy nikomu nie zależało na rozdmuchiwaniu sprawy. Następnego dnia — w normalnym, wcześniej ustalonym terminie — mój

podopieczny przeżył nową, wymyśloną przeze mnie przygodę. Z zadań, które przed nim postawiłem, wywiązał się bez najmniejszego błędu. Miałem więc właściwie prawo sądzić, że i dalsza nasza współpraca potoczy się jak dotychczas — bez konfliktów i w atmosferze sukcesu.

Miałem pełne prawo... W takim razie dlaczego nie uwolniłem się od podejrzeń? Fakt istnienia w Śyciu Kinga godzin, których treści nie znałem, fakt godzący w samo sedno instytucji anioła stróża, nie przestawał nękać i rozpalać mojej wyobraźni. Co mu się przydarzyło naprawdę? Gdzie i z kim? I dlaczego za wszelką cenę starał się zachować to wyłącznie dla siebie? Gdy próbowałem go podpytywać, zbywał mnie byle czym. Nie informując nikogo, poddałem supermana zdwojonej obserwacji. Potwierdzenie obaw zdobyłem szybciej, niż mogłem przypuszczać; że Alan King przechodził okres wewnętrznego zamętu! Najwyraźniej coś się w nim kotłowało, ważyło, przełamywało... Pierwsze sygnały tego procesu były delikatne i ulotne; ironiczne błyski w oczach przy odbieraniu scenariusza, głębokie, niespodziane zamyślenia, jakieś półgłosem rzucone uwagi, cierpkie uśmiechy... Skłonny byłem nawet sądzić, że ulegam autosugestii, że do ostateczności napięty w oczekiwaniu — sam przypisuję znaczenie gestom z gruntu ich

pozbawionym. Ale już wkrótce nabrałem pewności.

Odczytując podczas

emisji wskaźniki w kabinie kontrolnej, coraz częściej spostrzegalem, że przed realizacją niektórych epizodów King przeżywa chwile wahania — stany, które nigdy nie pojawiały się u niego wcześniej. Ja sam mogłem przesadzać i ulegać złudzeniom, ale aparatura się nie myliła; strzałki na tarczach wychylały się zdecydowanie. W kilka dni po incydencie na parkingu zameldowałem się u szefa.

— Cześć, Ray — przywitał mnie, gdy wszedłem do jego gabinetu. — O co chodzi?

— Obawiam się, że możemy mieć kłopoty z Kingiem — odparłem i opowiedziałem mu o wszystkim, co zauważyłem. Wysłuchał mnie, a potem przez długą chwilę siedział .pogrążony w zadumie. Ręka, w której trzymał pióro, kreśliła na kartce łańcuchy geometrycznych wzorów.

— To są fakty — powiedział wreszcie. — A co o nich sądzisz? Jak je interpretujesz?

— Kłopot w tym, że nie mam sprecyzowanego zdania — zacząłem unikając jego wzroku. — Przede wszystkim nie mam pojęcia, co znaczą te momenty wahania w czasie emisji. Czy przeżył coś, co odebrało mu wiarę w siebie? Czy musi przełamywać lęk? A może odwrotnie — może ma

ochotę w jakiś sposób zakłócić program i nie potrafi się
zdecydować? Szykuje się, a potem w ostatnim ułamku
sekundy cofa? Rytm serca, ciśnienie krwi, temperatura ciała
— raz po raz wszystko sygnalizuje wahanie. Ale jaki jest
tego powód? Najzabawniejsze, że jak dotąd programy
udają się wspaniale. Odbiorcy są nieodmiennie zachwyceni.
I tylko ja się szarpię...

— Tak — ze zrozumieniem skinął głową. — A widzisz
jakieś rozwiązanie?

— Dubler — odparłem natychmiast, bo byłem na to pytanie
od dawna przygotowany. — Potrzebny mi ktoś bardzo do
Kinga podobny. Ktoś dostatecznie sprawny, by
jednocześnie z Kingiem, na zbliżonym scenograficznie
poligonie, mógł realizować identyczny scenariusz. Muszę
mieć gwarancję, że w każdym momencie mogę przerwać
przekaz z mózgu Kinga i niepostrzeżenie kontynuować go
doznaniem tego drugiego...

— Po co?

— Jak to: po co? Przecież to proste! — przystępując do
szerszych wyjaśnień nie mogłem powstrzymać lekkiego
zniecierpliwienia. — Będziemy mieli dwóch supermanów,
tak? Obaj w jednym czasie będą przeżywać dokładnie lub
prawie dokładnie to samo, tak?

Szef potakiwał w milczeniu kiwając głową.

— No! Właśnie dzięki temu będę mógł przeskakiwać z emisją z jednego na drugiego. Odbiorcy "nie są w stanie uświadomić sobie trwającego ułamki sekundy braku ciągłości, będą się wciąż czuli jedną i tą samą osobą. Będą się czuli Kingiem, chociaż już będą dublerem. Rozumiesz?!

— w każdej chwili będę mógł wyeliminować Kinga! To najlepsze zabezpieczenie przed głupimi kawałami...

— Jak długo chcesz się bawić w tę podwójną grę? — przerwał mi krzywiąc się sceptycznie. — Nie lepiej po prostu wziąć tego nowego w miejsce Kinga?

— O tym też pomyślałem — nie dawałem się zbić z tropu.

— Zrobimy tak, jeśli ten nowy okaże się lepszy. Ale przecieś możliwe, że King wróci do formy. Wciąż w niego wierzę...

— Wierzysz? Naprawdę? — jego oczy ironicznie błysnęły spod zmrużonych powiek. — A może po prostu chcesz go sprawdzić, co? Sprawdzić do końca...

— Nie myślisz chyba...! — zacząłem z oburzeniem i zaraz urwałem; pojąłem, że przejrzał mnie na wylot.

— Myślę! — odparł. — Właśnie myślę! Ale nie widzę w tym nic złego. Każdy z nas ma prawo do własnych drobnych przyjemności... Nie zastanawiał się dłużej.

— Poszukamy Kingowi sobowtóra! — podjął decyzję. — Dostaniesz go ode mnie w prezencie!

— Dziękuję! — od razu poczułem się dużo pewniej; nie groziło mi już. Ście okaś się w obliczu zamiarów Kinga zupełnie bezradny. — Jeśli sprawa się przeciągnie, w niektórych programach mogą być też potrzebne dublerki partnerek Kinga...

— Rozumiem, rozumiem. Z czasem rozważę i to. Na razie szukaj dla Kinga i jego cienia programy z samymi fantomami — zrobić po dwa egzemplarze każdego to śaden problem.

— Jasne!

Popatrzyliśmy jeszcze na siebie. Obaj równocześnie pomyśleliśmy o tym samym. I obaj błyskawicznie doszliśmy do wniosku, że rozumiemy się bez słów; to, co zamierzaliśmy przeprowadzić, musiało pozostać tajemnicą.

Poza nami dwoma, samym dublerem i personelem technicznym związanym z jego akcjami nikt nie powinien znać prawdy o zastępczym Alanie Kingu. A już w śadnym wypadku nie mógł się o nim dowiedzieć prawdziwy King.

Tego, którego nazwaliśmy Dwójką, udało się znaleźć nadszpiewanie szybko. Pochodził z licznej armii bezprzekazowych drugiego planu. Wszczepienie przekaźnika i zatrudnienie na etapie supermana — nawet w takiej połowicznej i pomocniczej roli — uważał za oszłamniający awans. Naszym celom odpowiadał

wyśmienicie, jego twarz pod wpływem odrobiny właściwej charakteryzacji nabierała rysów bliźniaczego brata Kinga, sylwetka przypominała go w każdym calu, a krótki trening przyniósł takie podobieństwo ruchów. Dwójka był ambitny, odważny i sprawny. Dodatkowo podbechtałem go i zdopingowałem wizjami wspaniałej, samodzielnej już kariery w przyszłości. Słuchał i promieniał szczęściem. Gdy skończyłem, wyznał, że jest gotów na wszystko. Nie wątpiłem.

Tymczasem King coraz częściej zachowywał się przekornie, jego opór wobec wszystkiego, co robił, odczuwało się prawie fizycznie. Chwile wahania w czasie emisji stały się wprawdzie rzadsze, ale przybrały charakter bardziej dramatyczny, towarzyszyło im wyższe napięcie. Wciąż dokładnie nie wiedziałem, co wyrażają, ale nie miałem złudzeń — nie było to nic przychylnego aliusensorii. Nie wierzyłem już, by stany te miały same minąć, by wskaźniki powróciły któregoś dnia do normalnej stabilności. Zresztą, dysponując zabezpieczeniem w osobie znakomicie wypełniającego zadania Dwójki, przestałem się tym przejmować. Na dobrą sprawę mogłem już — w myśl sugestii szefa — zrezygnować z Kinga ostatecznie. Jeśli tego nie robiłem, to na skutek nieoczekiwanej przebudzonej we mnie pasji hazardzisty, ryzykanta, który całą sprawę

skłonny był traktować jako rodzaj znakomitej zabawy, ostrej gry o sporej stawce. Siedząc w kabinie kontrolnej koncentrowałem się tylko na tym, by nie dać się mojemu supermanowi zaskoczyć, by uprzedzić decyzję, którą wreszcie podejmie, i w porę uruchomić przełącznik.

Wygłaszałem nawet pod adresem Kinga ostrzegawcze monologi, których nigdy nie miał usłyszeć.

— Chcesz mi zrobić kawał? — mruczałem pod nosem obserwując ekran i wyławiając dźwięki ze słuchawek. —

UwaŜaj! Pilnuj się! Nic nie wiesz o Dwójce! Nie wiesz, Œe go mam! A jeśli włączę go do sieci zamiast ciebie? Wtedy mój

kawał moŜe okazać się lepszy! Rozstrzygnięcie nadeszło w czasie akcji zupełnie zwyczajnej, nie poprzedzone

stopniowym narastaniem napięcia i pozbawione jakiegóś szczególnej, błyskotliwej oprawy. Krętą górską drogą King uciekał na motocyklu przedi trzema samochodami pełnymi uzbrojonych po zęby fantomów. Na

odległym o dwa tysiące kilometrów, stanowiącym wierną kopię tej trasy torze przed takim samym pościgiem zmykał

Dwójka. Pierwsze trzy kilometry obaj przejechali zgodnie ze wskazówkami scenariusza. Ale przed serią zakrętów

otwierającą kilometr czwarty zauwaŜyłem na wskaźnikach kontrolnych Kinga znajome zjawisko; wahanie, niepokój, przełamywanie wewnętrznych hamulców, szykowanie się

do waśnego — a mośe nawet bardzo waśnego — kroku.

Tym razem decyzja zdaśyła dojrzeć! W pewnym momencie

King głąboko wciągnął w płuca powietrze, napręśając

gwałtownie wszystkie mięśnie mocniej przywarł do maszyny

i prawą aś do bólu i zbielenia skóry zaciśniętą dłonią

przekręcił ku sobie manetkę gazu. Przy pokonywaniu

pierwszego zakrętu szybkościomierz wskazał sto

kilometrów na godzinę. O dwadzieścia więcej, niś

dopuszczała — wyraźnie podkreślona w scenariuszu —

granica bezpieczeństwa. Po chwili strzałka sięgnęła jeszcze

wyśej. Ach! Więć to tak! — pomyślałem w nagłym

przyływie . jasnowidzenia, które pozwoliło mi przejrzeć

zamiar Kinga. — To przed tym cofałeś się tyle razy. Na to

nie mogłeś się odwaśyć. Obserwowałem go jeszcze przez

sekundę; wciaś przyspieszał.

— Cały przekaz z Dwójki! — ryknąłem sięgając do

przełącznika.

— Cały przekaz z Dwójki — potwierdziły świetliste litery na

zielonym ekraniku komputera. Odbiorcy pewnie nawet nie

poczułi niczym nieuzasadnionego zmniejszenia szybkości.

Przestali być Kingiem i bez wstrząsu wcielili się w jego

zastępcę. A mój zastępcą — dyśurujący w drugiej kabinie

kontrolnej — przejął czuwanie nad dalszym rozwojem

zaplanowanych na ten wieczór wydarzeń.

Moja współpraca z Kingiem dobiegała końca. Ostatni raz popatrzyłem na świat oglądany jego oczyma; asfalt szosy nabierał pod wpływem pędu jednolitego, łagodnego blasku, w zieloną mgłę zacierały się przydrożne krzewy, zakręty jak giętka taśma przesuwały się pod przednim kołem. Potem zgasiał ekran; tego, co ukaże się za chwilę — na najniebezpieczniejszym Wirażu — widzieć nie chciałem. Po systemie kontrolnym przekazu wzrokowego przyszła kolej na inne mechanizmy. Na wskaźniki, czujniki i sygnalizatory. Wyłączałem je systematycznie, klawisz po klawiszu. Tym samym uwalniałem z aliusensorycznej pułapki kolejne zmysły Kinga. Zwracałem mu je, z powrotem oddawałem w wyłączone, niepodzielne użytkowanie.

Ledwo uporałem się z tą robotą, gdy zaterkotał telefon.

Podniosłem słuchawkę.

— Ray Davis — przedstawiłem się i z przyzwyczajenia chciałem dodać: „Prowadzący Alana Kinga”. Ale ugryzłem się w język.

— Ray Davis — jak gdyby mnie przedrzeźniając powtórzył głos w słuchawce, a ja poczułem dreszcz; to był ten sam beznamienny głos, który usłyszałem w ciemnym wnętrzu półkuli, ten sam, który powracał później do mnie w sennych koszmarach. — Odwołuje się go z zajmowanego stanowiska.

Nie przewiduje się jego dalszej pracy w aliusensorii. Jest wolny.

Połączenie zostało przerwane. Odłożyłem słuchawkę i wyszedłem z kabiny na korytarz. U jego wylotu czekał pułkownik Nater i jego ludzie. Wiedziałem, co o tym myśleć.

Xffi

Alan King pędził ku miejscu, w którym droga — raptownie wyginająca się w kształt podkowy — prawym skrajem przylegała do zbocza góry, a lewym graniczyła z przepaścią. Nawet na moment nie przyszło mu do głowy, że przejrano jego zamiary i odłączono go od aliuserwicyznej machiny. Był przekonany, że wciąż — każdym oddechem i każdym spojrzeniem — stwarza iluzję życia milionom.

Myślał: zaraz... to się zaraz stanie... nie będzie trwało długo... trochę bólu, a potem ciemność... A jeśli nie? Jeśli cierpienie się przeciągnie? Trudno. Nie mogę się cofnąć.

Zginę... Zginę, ale oni będą żyć dalej. Poznają śmierć i będą żyć dalej! To musi ich odmienić! Nigdy więcej nie włożą kontaktowych hełmów. Dzięki mnie zrozumieją, że obowiązkiem człowieka jest żyć naprawdę! Ocalę ich.

Pozwolę im odzyskać sens istnienia... Czy ktoś będzie mu kiedyś wdzięczny? Czy ktoś o nim chociaż pomyśli?

Powtarzał sobie, że to nie ma już żadnego znaczenia. że postanowił się poświęcić i gotów jest na bezimiennosc i zapomnienie. że nie zależymu nawet na tym, by zmienili zdanie ci, którzy uznali go za robota, za bezduszną maszynę...

Nie mógł oszukać samego siebie. Z głębin pamięci wciąż powracała ku niemu postać nieznanym, patrzyły jej

rozumne oczy, rozlegały się ostatnie słowa: „Bardzo mi go
Śal. MoŚe powinnam do niego podejść? MoŚe trzeba mu
pomóc? I w końcu dlaczego nie miałabym z nim
porozmawiać?”. To przez nią waŚył się na ten krok. I dla
niej.

— Miałaś dla mnie tylko współczucie — przyłapał się na
tym, Śe mówi do nieobecnej. — Nie doceniłaś mnie. Ani ty,
ani twoi przyjaciele. Zrobię więcej niŚ wy wszyscy. NiŚ cały
wasz ruch. NiŚ wasz Comandante. To ja wstrząsnę
ludzkością. Ja ją ocalę.

Z daleka dostrzegł biały łuk bariery oddzielającej asfalt od
wielosetmetrowego pionu urwiska. W urzeczeniu zaczął
chłonać topnienie przestrzeni. Zasłuchany w gwiŚdŚący
wiatr wciągnął w płuca ostatni, tęgi haust powietrza.
Zderzenia z barierą prawie nie poczuł; pod naporem
rozpędzonej maszyny blaszane wstęgi rozdarły się jak
paski papieru. Nie puszczając kierownicy przez chwilę
szybował ku niebu. Potem na ułamek sekundy zawisnął w
apogeum. I wreszcie cięŚko runął w dół.

Inne miejsce

Nie pamiętał niczego. Ani drogi, która przyprowadziła go na
dno tej głębokiej, skalnej rozpadliny, ani przyczyn
wypełniającego umysł i ciało oszołomienia, ani nawet tego,
czemu leŚał w niewygodnej, pokracznej pozycji. Podniósł

się z wysiłkiem. Potem przez chwilę trzepotał rękoma łapiąc równowagę na osuwającym się piargu. Wreszcie stanął pewnie i w tym samym momencie o kilkadziesiąt kroków przed sobą spostrzegł postać w brunatnym, fałdzistym habicie średniowiecznego mnicha; szła lekko, jak gdyby ruchome kamienie pod stopami nie stanowiły dla niej żadnej przeszkody. Hej! — zawołał za nią. — Hop-hop! Postać zatrzymała się i odwróciła ku niemu, ale odległość i opuszczony nisko skraj kaptura nie pozwoliły rozpoznać rysów twarzy. Zresztą zatrzymała się tylko na mgnienie i natychmiast podjęła swój zwiewny, płynny — nieodparcie kojarzący się ze zwolnionym filmem — marsz. Nim zdążył zawołać po raz drugi, zniknęła za stertą głazów. Ruszył jej śladem. To pewnie jakiś zwariowany pustelnik — pomyślał — ale przecież chyba zna tejsze ścieżki? Wyprowadzi mnie z tego odludzia. Przełamując opór zmęczonych mięśni z trudem posuwał się naprzód; zdarzało mu się upaść i przez kilka metrów szorować na plecach po pędzącym razem z nim osypisku, a czasami po kostki zapadał się w drobny świr i brnął mając uczucie, że do każdej podeszwy ktoś przyczepił mu ciężkie sztabki żelaza. Kiedy wreszcie minął głazy, za którymi zniknął mimowolny przewodnik, brunatnego habitu nie było już nigdzie widać. Nie zmartwił się tym zbytnio, bo nie opodal dojrzał źródło dające

początek strumykowi i biegnącej jego brzegiem, wyraźnie wydeptanej ścieŹce; ludzie musieli chodzić tędy często i licznie. Obmył spoconą twarz w lodowatej, krystalicznej wodzie i podąŜył dalej. Nie minęło wiele czasu, gdy usłyszał śpiew. ChociaŜ moŜe przesadą było nazwać to śpiewem; wycie albo wrzask — oto właściwsze określenia. Jeszcze chwila i ukazało się rozlewisko, w jakie spiętrzała strumyk ułoŜona z kamieni tama. Na jej grzbiecie stał nagi, ociekający wodą chłopiec. Wniebogłosy wykrzykiwał bezsensowne, przypadkowe słowa improwizowanej pieśni. Nagle skoczył i wśród białych bryzgów zniknął pod powierzchnią rozlewiska. Wypłynął. Wygramolił się z powrotem na wyslizgany próg. I rozpierająca go radość wybuchła nową, jeszcze dzikszą melodią. Postanowił podejść do chłopca, zapytać go, jak tu dotarł. I jak on mógłby się stąd wydostać. Uczynił juŜ pierwszy krok, gdy osadził go w miejscu nagły rozbłysek świadomości; pomyślał, Źe dobrze zna tę dziecinną, rozbawioną twarz. Zapisła się gdzieś na samym dnie jego pamięci, ale kreską tak mocną, Źe dotąd nie utraciła wyrazistości. To przecieŜ on sam! On sprzed lat. Więc stoi tu i jest tam? Nie było innego wytłumaczenia — rozdwojony istniał równocześnie po przeciwnych stronach grubej kurtyny czasu. W dwóch wcieleniach stał nad

strumieniem, w którym kiedyś nauczył się pływać. Trwał nieporuszony, wciąż jeszcze ogłuszony odkryciem, gdy zza drzew wyłonił się widziany wcześniej, zakapturzony piechur.

Dawał przyzywające znaki ręką, Źądał, by iść za nim — teraz było to już zupełnie wyraźne i nie wyglądało na przypadek. Poczł, Źe musi posłuchać:

Posuwali się w dół strumienia. Spienione wody cichły rozlewając się coraz szerzej, kamieniste koryto nabierało głębi; z wolna rodziła się rzeka. Musieli jeszcze przejść spory kawałek, nim pojał, Źe poszczególne odcinki nurtu pochodzą z miejsc odległych o setki i tysiące kilometrów, z róŹnych kontynentów, z odmiennych klimatów. Działo się tak, jak gdyby szalony geograf pozlepił w jedną całość kilkusetmetrowe fragmenty Amazonki, Dunaju, Nilu, Missisipi, Huang-ho, Tamizy, Parany, Nigru...

Najdziwniejsze, Źe zupełnie umykały uwadze linie graniczne tych tak odrębnych krajobrazów. Niespodziewanie i niepostrzeŹenie towarzysząca rzece błotnista przesieka w tropikalnej dŹungli stawała się przysypaną śniegiem, nadbrzeŹną autostradą z okolic koła podbiegunowego albo dróŹką wśród skąpej zieleni między wodą i piaskami pustyni. I na nic się zdało oglądanie za siebie; nowy pejzaŹ natychmiast bez reszty wypełnił przestrzeń. We wszystkich kierunkach. AŹ po horyzont. Nonsens! — pomyślał

gniewnie. — To się nie trzyma kupy! Ale w takim razie —

co to jest? — pytał zaraz samego siebie. — Sen?

Halucynacja? Iluzja? Przywidzenie? Fantasmagoria?

Fatamorgana? (Za jak wieloma różnymi słowami potrafi się

skryć nierzeczywistość!) Mocne, wyraźne skojarzenie i tym

razem przyszło znienacka; przecie odwiedził te wszystkie

odległe rzeki w przeszłości! To były dokładnie te same

miejsca na ich brzegach, do których dotarł wtedy. I tylko to

— jego niegdysiejsza obecność — dawało źródło ich

wspólności, zlewało je w całość. Pojął sens rzecznego

przekładania i wtedy na przeciwległym brzegu znowu

zobaczył siebie. Tego drugiego siebie; przeistaczającego

się z każdym przebytym kilometrem — z chłopca w

wyrostka, z wyrostka w młodzieńca, z młodzieńca w

dojrzałego mężczyznę, potem w mężczyznę coraz

starszego...

Niezależnego od postaci dzisiejszej i nawet jej nie

spostrzegającego. Wędrowali więc teraz w trójkę; owinięta

w brunatny habit postać przodem, a oni dwaj — rozdzieleni

coraz szerszym nurtem rzeki i topniejącym dystansem lat —

z tyłu.

Wspiąwszy się na szczyt niewielkiego pagórka przewodnik

zatrzymał się nagle, potem odczekał chwilę i wreszcie

wyciągniętą ręką wskazał coś przed sobą. W dole,

przesłonięte siną mgiełką, leżało miasto. Ponad
pstrokaczną dachów wyrastały tu i ówdzie wieże starych
kościółów i gładkie, lśniące graniastosłupy drapaczy chmur.
Tu przed otwartym gościnnie wylotem pierwszej ulicy
koryto rzeki rozdzielało się na dwie, w kształty łagodnych
łuków wygięte odnogi. Obejmowały całą zabudowaną
przestrzeń lekko sfalowaną, cicho szemrzącą fosą. Rychło
ukazał się most. Szeroka jezdnia biegła przez bramy w
wysokich, stalowych wieżach, na których wisiała cała
konstrukcja. Obraz mostu kołysał się nieco, chwilami dwoił
się i troił, kiedy indziej połyskliwie rozmazywał. Tańczył, jak zwykły czynić widoki oglądane bardzo
zmęczonymi,
zażawionymi oczyma, w słońcu, przez drgającą soczewkę
rozpalonego powietrza. Chyba właśnie dlatego tak trudno
przychodziło mu zdecydować, czy jest to most
nadbosforski, klamra spinająca Europę i Azję, czy może
raczej Golden Gate w San Francisco. Niewykluczone
zresztą, że podstawy tych stalowych wież tkwią w
bulwarach Lizbony i obmywa je Tag — pomyślał. — I
mógłby to być most przez Severn — tak może podobny...
Podchodził właśnie do przyczółka. Spojrzał jeszcze raz i
przeżył następne — trzecie już od rozpoczęcia wędrówki —
ośnienie: Queensboro! Dołem przepływa Rzeka
Wschodnia, a za nią kolosalnymi budowlami przysłania
niebo Manhattan. Tak, to ponad wszelką wątpliwość Most

Queensboro — przekonywał jeszcze samego siebie. —

Teraz poznaję! ChociaŜby po iglicach na szczytach pylonów...' Przewodnik znowu gdzieś się zagubił, rozplynał w wodzie albo w powietrzu. Perspektywa mostu wyciągała się czysta i opustoszała. Machinalnie pobiegł oczyma wzdłuŜ jej osi. Linii niewidzialnej, a przecieŜ obdarzonej hipnotyczną władzą; nieprzeparcie ciągnęła go ku sobie, wskazywała nieodwołalny szlak przejścia i w zarodku dławiała myśl o tym, by z niego zboczyć. Głęboko zaczerpnął w płuca powietrza i ruszył ku drugiemu brzegowi. Bez przeszkód zbliŜył się prawie do samego środka przeprawy. I szedł dalej, ale nagle spostrzegł, Ŝe drogę zamyka ogromne, ustawione w poprzek mostu zwierciadło. Bo tylko lustrzanym odbiciem jego własnej postaci mogła być ta, która nadchodziła z przeciwka; tę twarz i tę sylwetkę — nie inne — oglądał, gdy ostatni raz golił się i ubierał. Zatrzymał się — sobowtór stanął takŜe. Zrobił kilka ostroŜnych, wolniutkich kroczków — tamten równieŜ nieśmiało się przybliŜył. Obejrzał się — kątem oka zdaŜył spostrzec, Ŝe i ten jego ruch został zmałpowany. A widok za jego plecami okazał się identyczny z tym, który — na dalszym planie — miał dotąd przed sobą. Tak, to lustro — pomyślał ostatecznie juŜ upewniony. — Ale skąd wytrzasnęli takie

wielkie? Gdzieś ono się kończy? I na czym trzyma? Po raz pierwszy poczuł liźnięcie lodowatego, wilgotnego od potu jezora strachu. Przeraził się, chociaż poprzednie błędzenie przez klimaty i lata nie budziło w nim śadnego lęku. Ale teś wszystko tamto tłumaczyło się wspomnieniami, wyjaśniało w uspokajającej myśli o bardzo długim śnie. Dla kolosalnego, nieograniczonego zwierciadła brakło usprawiedliwienia. Jego irracjonalność i czysto techniczna niemośliwość sprawiły, że serce gubiło normalny rytm, a dreszcz w mięśniach wyrażał najgłębsze pragnienie ciała: stać się mniejszym!, maleńkim!, zupełnie mikroskopijnym!, niewidzialnym! Czyś można jednak reagować inaczej napotkawszy na piasku lub śniegu odciski stóp o ludzkim wprawdzie kształcie, ale wielkością równe solidnej kanapie? Albo ujrzawszy na skwerku przed domem ptasie jajo, w którym można by ukryć autobus? Czyś można nie bać się zjawisk rozsadzających wszystkie znane nam skale? Więc drżał, a mimo to nie potrafił się cofnąć ani nawet zatrzymać. Szedł i równocześnie przybliżało się jego odbicie. Za ułamek sekundy — na powierzchni lśniącej tafli — czoło miało uderzyć o czoło, nos o nos, kolano o kolano... Juś! Nic się nie stało; na milimetry przed jego oczyma rozszerzone źrenice tamtego nabrały doskonałej przejrzystości i odsłoniły znajomą panoramę.

— Ze wszystkich stron tylko puściuteńki most — szepnął do siebie okręcając się na pięcie. — Więc co? Lustro zniknęło? Bez wstrząsu przeszedłem na jego drugą stronę i wchłonałem sobowtóra? A może to on mnie wchłonał? — Nie umiał sobie odpowiedzieć. Czuł tylko, że jest rozpaczliwie samotny. W tym stanie ducha z radością powitałby każde towarzystwo. Tym bardziej ucieszył się z powrotu przewodnika, który teraz wydawał mu się już starym, dobrym znajomym. Zakapturzona postać pojawiła się bardzo blisko — na niewielkiej, bocznej platformie, z której tutaj, w połowie mostu, wyrastały i ostro zmierzały ku wodzie wąskie schody. Niedbały gest tonącej w szerokim rękawie dłoni i tym razem nie pozostawiał wątpliwości; tędy zejść w dół. Ale po co? — zdziwił się, nim wspomnienia przyniosły mu kolejną odpowiedź: wyspa! Most Queensboro wspiera się przeciwko na Wyspie Roosevelta. To ku niej idą. Po minucie byli na dole. Przeskoczył trzy ostatnie stopnie i stanął na kamiennej płycie bulwaru. Na Quai de l'Horloge w Paryżu. Nie mógł się mylić; po prawej ręce miał Pałac Sprawiedliwości, a po lewej stromo umocniony brzeg Sekwany. Więc na moment zakotłowało mu się w głowie; Sekwana czy East River? Nowy Jork czy Paryż? Most Queensboro czy... Obejrzał się. Po wiszącej, stalowej

konstrukcji nie pozostał nawet ślad. W miejscu zwartą,
kamienną sylwetką ciemniał Pont-Neuf. A więc Paryż,
jednak Paryż...

Przewodnik ponagłał niecierpliwymi gestami, a on nadal nie
potrafił się im oprzeć. Poszli dalej. Minęli Conciergerie,
przebiegli rynek kwiatowy, a później wąską uliczkę przy
szpitalu. Za chwilę miała ukazać się ich oczom katedra
Notre-Dame. Nie ukazała się; jej miejsce zajmował kościół
Św. Marka. Stał tu, w centrum Paryża, a przecież
równocześnie najwyraźniej tkwił w swoim odwiecznym
pejzażu — u końca długiego placu, asymetrycznie
przysłonięty strzelistym pionem wieży, sąsiadujący z
Pałacem Dożów... Dotarli tedy do Wenecji! — innego
wy tłumaczenia nie było. Pojął, że zabawa toczy się dalej;
opuściwszy brzegi przekładańca rzek zwiedzał teraz
przetasowane zakątki różnorodnych miast. Wędrował plątaniną
uliczek i placów, które w rzeczywistości nigdy nie łączyły się ze sobą ani nie krzyżowały, a tylko
tutaj skupiły się w
całość. W kilka minut piechotą pokonywał dystanse między
punktami rozdzielonymi — w myśl zasad zwykłej geografii
— przez godziny lotu odrzutowcem. Ale to były te same
miejsca. Zbliżając się do piazzety, jaką tworzą Pałac Dożów
i Biblioteka Sansovina, żywił w tej mierze stuprocentowe
przekonanie i wypełniała go już tylko ciekawość; co
zobaczą za węglem budowli? Powinien tam płynąć kanał,

ale czy płynie? Płynął —jeden z koncentrycznych pierścieni

wodnych Amsterdamu, wciśnięta między mury miasta

macca Zuyderzee. Po chwili wyrosło tu obok nabrzeże

którejś z wysepek Sztokholmu. Doprowadziło go na

Dziedziniec Lwów w Alhambrze — ta przeistoczyła się w

agrzański grobowiec Tad Mahal, za jego zaś

groszkowatymi kopułami

otworzył się widok na gładkie, betonowe place nowoczesnej

Brasili.

Oswoiwszy się z pocztówkowym kalejdoskopem mniej

uwagi poświęcał poszczególnym widokom i starał się raczej

przeniknąć treść ich podobieństw, z nich wyłowić ukryty

wciąż sens całej przygody. Więc najpierw bezludność: poza

przewodnikiem i szeregiem własnych, różnowiekowych

wcieleń spotkanych nad rzeka nie widział nigdzie Śywego

ducha. Potem temperatura: wędrował przez klimaty i pory

roku, świtami i wieczorami, w słońcu i gęstym cieniu, a

przecież nie zmieniał ubrania. Raz tylko, na samym

początku, spocił-się trochę, ale później gorąco i zimno

utraciły dlań znaczenie. Po prostu przestał je odczuwać.

Wreszcie czas: nie umiałby już powiedzieć, kiedy się

podniósł ze skalnego rumowiska — przed godziną?,

wczoraj czy przed kilkoma dniami?, przed rokiem? Jestem

sam na sam z kimś, kto nie chce pokazać mi twarzy —

sumował w myślach spostrzeżenia. — Nie czuję upału ani mrozu. Straciłem zwykłą miarę czasu. Co to znaczy? Nadal nie potrafił sprecyzować swych sądów. Skupił wzrok na przewodniku. Kim jest? Na czym polega jego władza? Dokąd go wiedzie? I dlaczego kryje twarz? Wpatrywał się w spowite luźną szata kształty i ku swemu bezgranicznemu zdumieniu coraz wyraźniej dostrzegał w nich kobietę. Chód. linia ramion, subtelne pochylenie głowy, drobne dłonie — wszystko ja zdradzało. Jakże mógł nie zauważyć tego wcześniej! Odkrycie ośmieliło go. Rzucił się naprzód zdecydowany zabiec nieznaną drogę. Stanę przed nią — myślał — chwycę ją za ramiona i nie ustąpię, dopóki nie otrzymam wyjaśnienia wszystkich niezwykłości. Nie przewidział, że niezwykłość objawi się i tym razem. Bo chociaż przebiegał nogami jak sprinter i dyszał z wysiłku, dystans dzielący go od tej, którą pragnął wyprzedzić, nie zmieniał się. A ona wcale nie przyspieszyła — szła wciąż tym samym, majestatycznym, płynnym krokiem. Trudno o widok mocniej rozpalający bezsilną wściekłość. Wyładowywał ją w jedyny dostępny sposób — pędząc dalej. Aż po ogień w płucach i po omdlałość mięśni. Opętany przez niedościgniony cel późno spostrzegł, że w otaczającej go przestrzeni zaszła istotna zmiana; tłumnie wypełnili ją ludzie. Stali w długim szpalerze

przypominającym te, które towarzyszą zawodom sportowym i tryumfalnym przejazdom dostojników.

Nieznajoma i on posuwali się samym środkiem. Znał tutaj wszystkich. Po obu stronach widział twarze, z których każda pojawiła się kiedyś w jego Śyciu. Krewni, przyjaciele, wielkie miłości, wrogowie, znajomi z widzenia — zebrali się w komplecie. Jedni mówili coś do niego, wyrazistą mimiką podkreślali wagę łączących ich niegdyś spraw, co widać wciąż jeszcze nie przestały być aktualne. Drudzy zachowywali obojętność manekinów, figur woskowych, co wiernie odtwarzają tylko zewnętrzną oryginalność. Jeszcze inni, skromnie zaszyci w tle, wydawali się płaskimi sylwetami, cieniami o ziarnistej cerze z czarno-białych fotografii. Ale nikt nie był obcy. Kilkakroć bardzo chciał się zatrzymać, rzucić jakieś słowo, uścisnąć wyciągniętą ku niemu dłoń. Próśne marzenia; jego ciało wymknęło się woli i wbrew sobie musiał biec. Nieprzerwanie biec.

Gdy wreszcie stanął, wokół nie było nikogo. Zniknęła nawet przewodniczka. Przed nim i za nim jak wąś wiła się po łysym, kamienistym zboczach opustoszała górską drogą.

Powłócząc nogami ruszył w dół. Ku zachodzącemu słońcu.

Nie uszedł daleko. Po kilku minutach jego uwagę przyciągnęła wyrwa w barierze zabezpieczającej pobocze

drogi. Obudziła w nim niepokojące wrażenie przeżywania czegoś, co kiedyś już się zdarzyło. Ale jak zwykle w takich razach nie potrafił wyłowić z pamięci nic konkretnego.

Podszedł bliżej. Tuż za skrajem asfaltu otwierała się stromizna przepaści. Z jej głębi dobiegał ryk motoru.

Wychylił się mocniej. Na samym dnie, niziuteńko nad skalnym rumowiskiem, wisiał śmigłowiec. Kuląc się w podmuchach wzbudzanych przez potężne, wirujące łopaty krzątało się tam kilku ludzi. Dwaj nieśli nosze, na których spoczywało nakryte białym prześcieradłem ciało; jego zarys był zupełnie wyraźny, a w paru miejscach przez śnieżną materię przebijały się rozległe, ciemnoczerwone plamy.

Dwaj inni wciągali do śmigłowca szczątki motocykla.

Obwieszony aparatami reporter robił zdjęcie za zdjęciem. U wszystkich widać było spokój, jaki daje rutyna. A w nim rosła ekscytacja. Oglądana scena przykuwała jego wzrok, wabiła, rozniecała śladającą natychmiastowego zaspokojenia ciekawość: kim jest człowiek na noszach?, dlaczego uległ wypadkowi?, dokąd jechał? Musiał to wiedzieć. Musiał! Nie bacząc na niebezpieczeństwo i zmęczenie wyczołgał się za krawędź stromizny. Czepiając się wystających okruchów skały i rachitycznych krzewów zaczął zsuwać się po urwisku. Z pośpiechu raz po raz ryzykował upadek, ale mimo to nie zdążył. Brakowało mu

kilkunastu metrów, gdy ogłuszający warkot i powiew
przesyconego spalinami powietrza wgniotły go w ścianę;
śmigłowiec ciężko unosił się w niebo. Dalsze schodzenie
straciło sens. Ale powrót na górę też nie był możliwy. Na to,
by dotrzeć do drogi, stanowczo brakowało mu już sił.

Zrezygowany, podrapany i potłuczony, prawie bezwładnie
stoczył się aż na samo dno. Przez chwilę leżał dysząc
ciężko i odpoczywając. Potem podniósł się i rozejrzał wokół.

Nie znalazł niczego; plamy krwi, odłamki potłuczonego
reflektora, odpryski lakieru, rozlana benzyna — wszystko,
co musiało tu być jeszcze przed sekundą, odpłynęło z
kamienną lawiną, którą wywołał start śmigłowca. Zza sterty
głazów wyłoniła się postać w brązowym habitacie. Nie
zdziwiło go to wcale, bo podświadomie cały czas jej
oczekiwał. Zaczął iść ku niej po wciąż jeszcze
niepokojnym, szemrzącym piargu. Tym razem nie uciekła.

Stała wpatrując się w niego wielkimi, przenikliwymi oczyma,
które coraz wyraźniej widział wśród cienia rzuconego przez
skraj kaptura. Dzieliły ich ostatnie kroki, gdy gwałtownie
odwróciła się w tył i wyciągnęła przed siebie rękę. Pobiegł
wzrokiem za jej gestem i zobaczył morze — mieniące się w
zachodzącym słońcu, ciche, bezkresne. Pozbawiona zatok i
najmniejszych nawet krzywizn płaska prostą krechę
 zetknięcia piasku i wody precyzyjnie odcinała połowę

koliska horyzontu. Pomyślał, że odwiedził wiele wybrzeży,

ale na tym ponad wszelką wątpliwość nie był nigdy. To

jakieś inne miejsce — szepnął. — Zupełnie inne miejsce.

Dziewczyna — teraz był już pewien, że to młoda

dziewczyna — znowu zwróciła się ku niemu.

Zdecydowanym ruchem głowy odrzuciła na plecy kaptur, a

po chwili spłynął do jej stóp cały habit. Stała naga, a on

pojął, że widzi najpiękniejszą z kobiet. Ale nie poczuł

pośądania; był w nim tylko zachwyt, jaki ogarnia czasem

przed aktami, co wyszły spod pędzla wielkich mistrzów.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a potem postąpiła ku wodzie.

Napotkawszy pierwszą łagodną falę obejrzała się i

wyciągnęła do niego rękę. Bez namysłu zrzucił ubranie.

Dogonił ją w dwóch krokach i ich dłonie natychmiast się

splotły. Razem skierowali się ku głębi. Doskonale

przezroczystą woda zupełnie nie kryła dna, można było

przez nią dostrzec każdą fałdę piasku i każdy kamień. A

jednak nie widział swego ciała. Gdy zanurzył stopy —

zniknęły. Gdy powierzchnia sięgnęła jego kolan — zniknęły

także. Zaniepokojony zatrzymał się i obejrzał, ale brzeg

rozpłynął się w powietrzu. Ze wszystkich stron otaczała ich

tylko woda. I ze wszystkich stron wydawała się coraz

głębsza. Pełen wahania nie mógł zdecydować się na

następny krok,

gdy dziewczyna mocniej, uspokajająco ścisnęła jego dłoń.

Poszli dalej. Drobne, miękkie fale wspinały się po nim coraz wyżej, dotykały brzucha, piersi, ramion, szyi... Po kolejnym kroku pierwsze krople spryskały mu wargi. Patrzył na słońce, które czerwonym brzegiem ocierało się już o powierzchnię morza. Rozbłysło nagie oślepiającym, białym światłem, a dziewczyna w tym samym momencie pociągnęła go ku sobie. Woda zalała mu oczy. Pogrążył się w ciemność.